W. Kosiakiewicz

Jej chłopcy

Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

W... . POCZT.:

Rocznie ... tomy) rb. 12
Półrocz. ... tom.) „ 6
Kwartal ... tom.) „ 3
Za odnosz...

...5 kop.

...50
kop



RE...

WYDAWCA: KAZIMIERA GADOMSKA.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Sienna 2,
we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

FILIA W ŁODZI:
Księgarnia Stanisława Olczaka, Mikołajewska 20.

DRUK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-SWIAT 70. Tel. 27-73.

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

JEJ CHŁOPCY

POWIEŚĆ.

TOM I.

Cena 55 kop.
W prenum. 30½ kop.

WARSZAWA
Redakcya i Administracya Sienna № 2 (Dom Towarzystwa Rosya). Telefon 114.30.

JEJ CHŁOPCY.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

Wincenty Kosiakiewicz.

JEJ CHŁOPCY.

POWIEŚĆ.

TOM I.

WARSZAWA
Druk Ed. Niczki S-ka, Nowy-Świat 70.
Telefon Nr 27-73.

CZĘŚĆ I.

I.

— Co Marcinowa robi! Dlaczego Marcinowa zatrzymała zegar?...

Marcinowa spogląda na Bronię litościwym wzrokiem i z wielkiego wzruszenia uciera nos końcem czerwonego fartucha.

Nie odpowiada zaś nic.

Bo i co ma odpowiedzieć, mój ty Boże?...

Przechodząc przez pierwszy pokój, gdzie młodsi chłopcy bawią się bardzo hałaśliwie, chce im Marcinowa rzec, aby się uciszyli, ale żadne słowo nie może się jej przecisnąć przez gardło.

Myśli więc jeno:

— Co ten drobiazg pocznie tera...

I wychodzi z mieszkania, nietyle z żałości, ile aby roznieść wiadomości po kamienicy.

Drobiazg bo to i jest istotnie. Anatolek, najstarszy, ledwo ma lat trzynaście i chodzi do trzeciej klasy. Bronia o rok młodsza, a mniejszych jest jeszcze troje.

Bronia przez cały dzień dzisiejszy jest jak błędna; wszystko było dobrze, dopóki ojciec miał jeszcze przytomność, ale dziś rano, kiedy dzieci się obudziły, ojciec ani patrzył już na nie, ani na zapytania nie odpowiadał.

Anatol, zamiast pójść do gimnazyum, pobiegł do lekarza kolejowego.

Kolejowy lekarz akurat był w domu, przyszedł, receptę zmienił i poszedł.

Bronia kręci się po domu, jak zwykle, ale chodzi, jak nie na swoich nogach, daje „dzieciom” jeść, jak nie własnemi rękoma i patrzy jak cudzemi oczyma.

Gdy Marcinowa wyszła, zwraca Bronia swą bladą, wymęczoną twarzyczkę do brata:

— Patrz... Dlaczego ona zatrzymała zegar?...

Anatol oddawna już stoi nieruchomo, wpatrzony w fatalne łóżko; wzroku od niego nie może oderwać, ani kroku zrobić w żadną stronę.

On pierwszy, widząc twarz ojca białą, jak poduszkę, skręconą nienaturalnym ruchem na pokój, z powiekami do wpół oczu opadłemi, z dwiema kropelkami piany w kącikach ust, domyślił się strasznej rzeczy, która się stała. Nie śmiał jej tylko w żaden sposób sformułować dokładniej w swej myśli i przytem miał jakąś nieokreśloną nadzieję, opartą na ogólnym braku zaufania do siebie w rzeczach ważniejszych, iż może to tak nie jest.

Ale wyraz twarzy Marcinowej i jej zachowanie mówią mu, że to jest tak, niestety!

Nie odpowiada nic Broni.

Więc ona mówi:

— Trzeba puścić zegar, bo nie będę wiedziała o której godzinie dać dzieciom kolacyę.

Chce sobie przystawić krzesło, aby dostać do wahadła.

Wtedy Anatolek bierze ją za rękę i mówi głosem, jak umie najpoważniejszym:

— Broniu... Wszystko się skończyło...

Bronia podnosi na niego błędne oczy.

— Co on mówi?—szepcze.

I wraca do swego krzesła.

Więc Anatol mówi jej wyraźnie:

— Jesteśmy sierotami... Czyż nie widzisz?

Dziewczyna wygląda na zdumioną, zdaje się, że potrzeba jej wiele czasu, by zdać sobie sprawę z dziwnych słów brata. Ale powoli wzrok jej przytomnieje, twarz się wydłuża. Odwraca głowę i wyciąga chudą, długą szyję w kierunku ojcowego łóżka.

Zrozumiała nareszcie — wybuchnęła głośnym, krzykliwym płaczem.

Anatolek obejmuje ją ramieniem.

Chce jej powiedzieć, że teraz na nich dwojgu wszystko polega... coś takiego i że powinna panować nad sobą, dla przykładu dzieciom... coś podobnego... Nic wymówić nie może. Z wysiłkiem wreszcie szepcze:

— Broniu, Broniu...

Bronia drży, jak listek osiki.

Więc tuli ją mocno do siebie, głowę jej składa na swej piersi... Chce być dla niej już od tej chwili pomocą i oparciem, ale i jego samego zdejmuje roz-

pacz; puszczają mu się z oczu ciche łzy, które poczynają kapać na płowe włosy Broni.

Szlochanie dziewczyny dolatuje do pierwszego pokoju.

Leonek pierwszy je słyszy.

— O, co to! Brona płacze...

Ludek otwiera szeroko gębę i wyłupia czarne oczy, jak zawsze, gdy cokolwiek zaczepi jego uwagę.

Mały Henio wsłuchuje się chwilkę:

— Pewnie ją *Tolek nabił*!—przypuszcza.

Ale ten płacz wydaje się Leonkowi jakiś taki...

Wsuwa się przez ciekawość do drugiego pokoju...

Za nim Ludek, za Ludkiem Henio...

I tu, przelękli, rozumiejąc każde tyle nieszczęścia, ile dusza w tym wieku znieść może, uderzają w płacz także i cisną się do starszego brata i do starszej siostry.

Leonek staje za Anatolem, jakby się chciał nim zasłonić przed okropnym widokiem, Ludek i Henio łapią się mocno za fałdy spódnicy siostry.

II.

Sąsiadki, które w jakiś czas potem, zawiadomione przez gorliwą Marcinową, poczynają się schodzić, zastają tak tę biedną kupkę dzieci, nieszczęśliwą, zalaną łzami, nieruchomą i okrutnie bezradną.

Pierwsza zagląda pani Wandowska.

Prawie że nie znała ona Rabniewicza, ale oto Marcinowa spotkała ją na schodach i zaczepiła:

— Proszę pani, a to nasz pan umarł.

— Ach, tak? kiedy?

— Tylko co...

— Czy... czy chorował długo!

— O! chorował...

Pani Wandowska pokiwała głową.

— I ostało pięcioro sierotów...

— Mój Boże...

Pięcioro sierot?! Pani Wandowska postanowia je odwiedzić.

Młoda to pani, niedawno mieszka w Kielcach, żona budowniczego, i wyjątkowo ukształcona, gdyż

studyowała wyższe nauki na uniwersytecie zagranicznym.

Wchodzi...

W pierwszej chwili widok bladego trupa z pianą w ustach czyni na niej ciężkie i przygnębiające wrażenie.

Ale jedno spojrzenie na pięcioro zapłakanych twarzy dziecięcych i—wszystko w duszy jej ustępuje miejca gorącemu współczuciu. Pani Wandowska duszę ma gruntownie dobrą i troszkę egzaltowaną. Wdzięczność więc czuje dla tej nieznanej prawie sobie kobiety, która wskazała jej miejsce, gdzie jest kilka łez do otarcia.

Poruszona do głębi, uczyniła sobie w jednej chwili obowiązek otarcia choć kilku tych łez.

— Należy powiedzieć temu biedactwu—postanowiła — coś słodkiego, coś, coby je pocieszyło i przyniosło nieco ulgi. Należy coś uczynić dla nich, zaradzić, pomódz choć narazie ich niedoli.

Głównie narazie... Później zapewne zajmą się niemi krewni... Teraz nie mają nikogo...

Ale—dziwna rzecz—nie przychodzi jej żadne słowo na usta, żaden pomysł na myśl...

Przechodzi, zaambarasowana, gorączkowo na drugą stronę pokoju, potem wraca znowu ku drzwiom...

Dotyka ręką główki Henia, który mocniej wpija palce w spódnicę Broni.

Ach, co ona może im powiedzieć?

W jaki sposób przyjść z pomocą, z pociechą?

— Wszystko, cokolwiekbym im powiedziała—

rozumuje sobie—będzie dziwnie puste i jałowe wobec tej rozpaczliwej straty, jaka ich dotknęła.

I ogarnia ją bardziej jeszcze od widoku trupa przygnębiające uczucie niemocy, że oto nie ma żadnego sposobu zadośćuczynienia tej gorącej chęci, która w jej sercu podniosła się tak wysoko.

Ale oto nadchodzą i inne sąsiadki: Pani Majerankowska, żona urzędnika pocztowego (z drugiego piętra), a za nią Sztyfcikowska, żona szewca (z facyatki).

— Mój Boże, mój Boże!—lituje się głośno pani Majerankowska. — Jak to biedactwo teraz bez matki, bez ojca... siroty... I pięcioro tego, proszę pani, pięcioro—zwraca się do pani Wandowskiej.— Jedno mniejsze od drugiego... Najstarszy kawaler pewno ni ma więcej nad dwanaście lat...

— Trzynaście—mówi cicho Anatolek.

— Właśnie... Trzynaście dopiero. I teraz to do obcych ludzi pójdzie. Dobrze jeszcze, że jest familia... Pan Bóg łaskaw... A jak familii żadnej ni ma. A bo to raz...

— O joj!—potwierdza szewcowa.

Pani Wandowskiej robi się lżej od tych słów tak tuzinkowych, tak „babskich”.

— Marcinowa mówi, że mają i podobno dużą. Już ta zginąć im nie dadzą, nie. Oto obawy nima nijakiej... Jeden brat nieboszczki majątek tu dzierżawi... niedaleko, o parę mil. Widziałam go przecie nieraz. Prawda!—zwróciła się do dzieci.

Anatolek głową kiwnął.

— Daleko to będzie?

— Cztery mile.

— Cztery... Myślałam... że bliżej.

Tymczasem szewcowa przy łóżku poprawia głowę zmarłego, układa ją delikatnie zgrubiałymi palcami równo na poduszce, przywiera niedomknięte powieki, ociera końcem prześcieradła pianę z ust; twarz nieboszczyka ma teraz wyraz lekkiego zmęczenia i spoczynku.

Zaczyna szewcowa wypytywać Bronię o szczegóły: a kiedy to ojciec umarł? a co mówił przed śmiercią? a czy dano mu choć gromnicę na chwilę do ręki?

Bronia ociera oczy ręką i usiłuje dawać szewcowej odpowiedzi.

Ale oto wraca i Marcinowa.

Od tej można się więcej dowiedzieć, niż od zapłakanej Broni.

— Tak cicho skonał, że powiadam państwu, niewiadomo kiedy. Żeby choć krzyknął, żeby jęknął... Może jeno westchnął i tyle tego, zresztą na dokument powiedzieć nie mogę, bom świadkiem nie była... Jakem zajrzała ostatni raz była może trzecia, może wpół do czwartej... Czy to człowiek patrzy zawsze na zegar... Jeszcze nic... Jak był, tak był... Żebym się była spodziewała, tobym poleciała po księdza...

— Przytomności przecie nie miał...

— Juści, wyspowiadaćby się nie mógł, aleby otrzymał Oleje Święte... Ale to już jest tak od Pana Boga dane, że chwili śmierci nikt naprzód wiedzieć nie może.

— Juści...

— Więc, powiadam państwu, wracam do kuchni, pozmywałam sobie, co mi było potrzeba, pobyłam mało wiela... Wracam do pokoju... Już po wszystkiem...

Ostatnie słowa podkreśliła Marcinowa uroczystym tonem:

— Letką mu śmierć dał Pan Jezus — mówi szewcowa.—Musiał nie mieć dużo grzechów na sumieniu.

— Poczciwy był człowiek, jak nie wiem co... Nikomu i tyle krzywdy nie zrobił.

— Juści. Lubili go wszyscy.

Pani Wandowska patrzy na dzieci, które słuchają w milczeniu tej rozmowy, czuje, że ona im ulgę pewną sprawia i zaczyna pojmować, iż są chwile, w których człowiekowi pomaga wprost sam dźwięk ludzkiego słowa.

Tymczasem zmierzch wchodzi do mieszkania, Pani Majerankowska zabiera się do odejścia:

— Zostawiłam tam cały dom na Opatrzności Boskiej—powiada.

Szewcowa także ku drzwiom spogląda.

— Tylko jakże tu dzieci zostaną... razem — powiada. — Trzeba ich zabrać ztąd, choćby na tę jedną noc.

Pani Wandowska rozradowana woła:

— A to ja je do siebie zabiorę.

Pani Majerankowska mówi:

— Wszystkie? Może pani trudno będzie? Jabym mogła którego kawalera przenocować.

— I jabym dla jednego znalazła miejsce — powiada szewcowa cichym głosem.

— Oto, co należało zrobić dla nich w tej chwili—robi sobie wyrzuty pani Wandowska, iż nie przyszło jej na myśl to, o czem odrazu pomyślały te proste kobiety.

I podała rękę Broni.

Bronia rusza się posłusznie z miejsca, a za nią Ludek i Henio, nie wypuszczający z rąk fałdów jej sukni.

Marcinowa także tu nocować nie będzie.

Pójdzie do kumy.

I opuszczają wszyscy pokoje, które zajęła śmierć.

III.

Godzina ósma wieczorem.

Anatol dzwoni do mieszkania państwa Wandowskich.

— Przepraszam, czy mógłbym się zobaczyć na chwilę z siostrą.

— Proszę bardzo.

Ludek i Henio śpią już obok siebie, z głowami na jednej poduszce, w łóżku pani Wandowskiej, która dziś śpi na otomanie. Na Bronię czeka rozstawione żelazne gościnne łóżko.

Brat i siostra idą w kącik.

— Przyszedłem powiedzieć ci, com zrobił...

Bronia podnosi na niego oczy...

— Więc byłem na stacyi, u Bębnowskiego. Kazał mi tylko dać adresy i powiedział, że sam wyśle do każdego depeszę. Chciałem iść jeszcze do naczelnika, ale powiedział, że on sam pójdzie. I powiedział, że jakby tu wuj Piotr nie przyjechał zaraz jutro, to koledzy sami zajmą się pogrzebem...

Broni puściły się łzy obfite z oczu.

Postał chwilkę przy niej.

— Dobrze wam tu! — zapytał, gdy się nieco uspokoiła.

— Dobrze—odrzekła ze łkaniem w gardle.

— Ty nie płacz, nie rozpaczaj, teraz to nas dwoje wszystko...

— Ja wiem...

— Ja tu rano przyjdę. Dobranoc.

— Dobranoc!

— I nie płacz, mówię ci.

— Kiedy nie mogę.

Państwo Wandowscy chcieli go na herbatę zatrzymać.

Podziękował, ukłonił się i poszedł do szewców na facyatkę.

Czy dobrze było Broni i braciszkom w domu państwa Wandowskich? Bardzo dobrze. Pani Wandowska czuwała nad nimi z troskliwością i delikatnością.

Pan Wandowski bardzo był wzruszony dobrocią serca młodej swej żony i, wyprowadziwszy ją do drugiego pokoju, serdecznie ją za to ucałował w usta, w oczy, w policzki.

Jak tylko Anatolek wyszedł, pani Wandowska namówiła Bronię do położenia się; sen ją pokrzepi i znieczuli.

— Biedactwo!—mówi do męża. — A takie to sympatyczne...

— Moje ty brylantowe serce—odpowiada na to pan Wandowski.

I całuje znowu jej oczy, usta i policzki jeszcze silnej, niż za pierwszym razem.

Leonek tymczasem bawi się z dziećmi Majerankowskich. Wzięły go dzieciaki pomiędzy siebie, obchodzą się delikatnie, jakby z chorym; najstarsza opowiada mu bajki o strasznym smoku, który pilnował zaklętej królewny.

Majerankowski pojechał z początku do Buska, na noc, nie wróci, o spanie dla sieroty niema więc kłopotu.

Majerankowska patrzy na Leonka, któremu już łzy oschły, ze wzruszeniem i czułością.

— Mój ty Boże miłosierny—myśli sobie—niewiadomo co komu przeznaczone.

— A gdyby tak (żeby nie pomyśleć w złą godzinę) moje robaki zostały bez opieki nijakiej... na coby to wyszło...

I westchnęła pobożnie, ze szczerą wdzięcznością, za to zdrowie, którego Pan Bóg jej nie szczędzi.

Potem na myśl jej przychodzi projekt jeden!

— Leonek?—pyta—A lubisz ty racuszki?

— Lubię.

— Lubisz? To ci usmarzę racuszków.

Dzieciakom oczy zaczynają się świecić.

— Co! Racuszki?—szepczą.

— Racuszki.

— Racuszki będą...

Jedno śmielsze pyta:

— Mamusiu, a czy dla wszystkich mama usmarzy racuszków, czy tylko dla niego?

— Takiś to ciekawy?

Potem kłócą się o to, kto będzie rozcierał kartofle na racuszki.

Średni Majerankowski, zachęcony tem przygotowaniem do rzadkiej uczty, obejmuje Leonka za szyję i proponuję mu:

— Słuchaj!... Ty zostań u nas na zawsze!

— Dobrze!

Tymczasem szewcowa pyta Anatolka:—czy nie jest głodny?

— Nie, dziękuję—odpowiada.

— Bo jest na kolacyę zupa kartoflana. Kawaler może niezwyczajny takiej zupy. Ale jakby co, to bardzo prosimy.

— Nie chce mi się jeść.

— Bo... okraszona...

— Doprawdy, dziękuję...

Ale szewc wstaje w tej chwili z nizkiego wklęsłego trójnoga, odkłada kopyto i pocięgel i powiada:

— Co tam! Niech kawaler siada z nami. Zjeść to zawsze jest dobrze, czy w radości, czy w smutku. Nie żeby przez łakomstwo, ale jak żołądek zapcha się dobrze, to i sercu zara lżej się zrobi... Z doświadczenia mówię, jako że praktykant jezdem... Nalej, stara i dla kawalera zupy, jeno skwarków nie żałujący...

Anatol nie potrafi na zaproszenie odmówić, podchodzi więc do stołu, gdzie już od pół godziny czekają z łyżkami w ręku dwa małe chłopaki szewca, chude, głodne i umorusane.

Żeby Anatola rozerwać opowiada szewc jakąś historyę z tych czasów, kiedy w wojsku był jeszcze na Kaukazie; ma on wysokie pojęcie o tych, co mundurek gimnazyalny noszą, mówi więc jakby do do-

rosłego. A Anatolek przez pół nie wie o co idzie, a przez pół nie słucha.

Po kolacyi szewcowa mówi:

— Kawalerowi może twardo będzie spać na sienniku... A my materaców nie mamy...

— Wszystko jedno.

— Jakże ty nas, stara, dziś rozmieścisz—pyta szewc, wstając od stołu.

— A weźmiemy Piotrusia do swego łóżka, w nogi, a kawaler prześpi się ze Stasiem... on śpi spokojnie, ani się poruszy przez całuśką noc...

— A no—powiada szewc.

I zabiera się do roboty.

— Czy kawaler może spać przy świetle?

— Mogę.

— To dobrze, bo to ja nie zara spać idący...

Roboty jest dużo...

Anatolek zaczyna się rozbierać, a szewc bierze się do wyklepywania skóry na podeszwę...

— Nie mógłbyś na jutro, stary, odłożyć tego klepania—pyta szewcowa.

Szewc chwilkę myśli.

— A mógłbym—powiada.

Odkłada podeszwę i młotek i zabiera się do szydła i dratwy.

IV.

Bębnowski zaraz się puścił w ruch, jak tylko dowiedział się o śmierci kolegi. Służyli oni razem przez lat ośm, od początku eksploatacyi kolei dąbrowieckiej, w jednym dystansie, w jednym pokoju nawet, biurko naprzeciw biurka. Rabniewicz był rachmistrzem, Bębnowski młodszym magazynierem.

I dobrze z sobą żyli, choć nie były to charaktery dobrane: Bębnowski prędki, chwilami nawet gwałtowny, w pracy dorywczy i szybki; Rabniewicz wolny i systematyczny i w stosunku z ludźmi zgryźliwy i uszczypliwy, czego niemało policzyć się było winno na rachunek choroby, która go od wielu lat minowała i niszczyła.

Ale ci dwaj ludzie zżyli się i poznali wzajemnie, więc choć zajścia między nimi były częste, trwały krótko, a kończyły się nawet po największej części wesoło. I lubili się, można powiedzieć.

Teraz pierwszą myślą Bębnowskiego było pobiedz do telegrafu, drugą pójść do naczelnika.

Usłuchał tej drugiej myśli.

Naczelnik był w domu, choć już na wychodnem; wybierał się na winta proszonego u aptekarza. Był to człowiek młody, nielubiany powszechnie na stacyi, noszący do góry zadartą swoją czapkę naczelnikowską i mający się za istotę wyższą od wszystkich nie—inżenierów, a nawet i tych inżenierów, którzy nie skończyli jak on, petersburskiego instytutu komunikacyi. Dzielił on świat na dwie tylko kategorye: na „putiejców" i na „nie-putiejców", z których to kategoryi druga została stworzona dla wygody pierwszej bez żadnej wątpliwości.

Wieść o śmierci swego rachmistrza przyjął obojętnie.

— On był ciągle taki blady, tak kaszlał, aż ciężko było słuchać—rzekł, skrzywiwszy się.

I po chwili milczenia zapytał:

— Czy tam dużo roboty zaległo?

— Nic, panie naczelniku, wszystko w porządku. Ja załatwiałem papiery, co do jednego...

— To dobrześ pan robił.

Chciał pożegnać magazyniera tą pochwałą, ale Bębnowski rzekł:

— Ja myślę, panie naczelniku, że trzebaby napisać do zarządu o jakieś wsparcie. Zostało pięcioro dzieci, bez matki, ani ojca.

Naczelnik się zadziwił.

— To on miał pięcioro dzieci?

— Pięcioro, panie naczelniku.

Pokręcił głową.

— A no, dobrze—rzekł po chwili — to niech tam przygotuje papier. Ja jutro podpiszę.

I już miał wyjść do miasta na proszonego winta, ale Bębnowski jeszcze raz go zatrzymał:

— Panie naczelniku — rzekł głosem proszącym—mam nadzieję, że pan naczelnik nie pozwoli, aby mnie ten awans minął... Jestem od samego początku eksploatacyi... A to tak trudno teraz żyć z tych czterystu rubli...

Pan naczelnik pozwolił sobie na delikatny żarcik!

— Przecież pan nie masz pięcioro dzieci.

— Pan Bóg strzegł, ale obowiązki zawsze są...

— A ileż pan masz dzieci?

— Jedno, panie naczelniku.

— No, i nie wystarcza panu?

— Trudno bardzo... W długi człowiek wchodzi, panie naczelniku... Pan naczelnik będzie łaskaw... Przecie to mi się należy...

— Oo! dlaczego to panu zaraz się *należy*?

— Ośm lat służby, panie naczelniku... Przytem pan naczelnik mnie zna...

— No, zobaczymy, zobaczymy. Ja pana przedstawię, ale tam dalej, pan wie, że to nie odemnie zależy...

— Niech tylko pan naczelnik będzie łaskaw dobrze przedstawić...

Bębnowski rad byłby usłyszeć jakieś cieplejsze, a przynajmniej mocno określone słowo od naczelnika, ale naczelnik utrzymał się w rezerwie, pożegnał go krótko i poszedł do miasta.

Bębnowski zaś znowu dwie myśli powziął: pierwszą było pójść do telegrafu, podać depeszę do

sióstr i braci Rabniewicza, drugą: wpaść na chwilkę, po drodze, do domu.

I znowu usłuchał drugiej.

— Wiesz, Mieciu, Rabniewicz umarł!

Pani Bębnowska struchlała.

— Bój się Boga!—zawołała, łamiąc ręce.

Bębnowski dał jej parę minut czasu na ochłonięcie z wrażenia.

— Ano, umarł—rzekł wreszcie. — Szkoda go: Kolega był rzadki. Ha! trudno! Każdego jeden koniec czeka.

Potem zniżył głos.

— Uważasz, Mieciu, ja już byłem u naczelnika. Obiecał, że mnie przedstawi, ale jakoś miękko gadał... To nic.... Będę mu jutro basował, co wlezie, że jak on zechce to wszystko przeprowadzi, a w niedzielę drapnę cichutko do Radomia i wprost pójdę do mieszkania dyrektora. Co? Jak myślisz?

Pani Bębnowska odpowiedziała miękko...

— Ach, mój drogi, ja nie mogę o tem myśleć. Jak ty zaraz...

Bębnowski wziął za czapkę:

— O! moja kochana, trzeba kuć żelazo póki gorące...

Dodał:

— Wiesz, ja myślę, że mnie to nie może minąć.

I wyszedł, zostawiając żonę ciągle pod wrażeniem tej śmierci.

Przez drogę ułożył sobie depeszę. Wyda jednobrzmiącą do wszystkich w te słowa.

Michał Rabniewicz umarł dziś wieczorem. Co robić?

I bez podpisu.

W salce telegrafu zebrani byli obaj pomocnicy zawiadowcy i służba pociągu towarowego, który stał właśnie przed peronem.

— Dajno mi pan pięć blankietów prywatnych—rzekł, wchodząc Bębnowski.

— Dlaczego pięć?—zapytał telegrafista, podając mu pęczek blankietów.

— Na pięć depesz.

I zaczął pisać.

Wszystkich zaciekawiło to jego żądanie, zresztą nie w innym celu tak rzucone, a jeno dla wywołania zaciekawienia.

— Co! Rabniewicz umarł? — zawołał telegrafista, biorąc w rękę napisany blankiet.

Posypały się zapytania, komentarze, wspomnienia. Ale przerwano je wkrótce, bo pociąg towarowy należało wyprawić.

— On i wyglądał jak emigrant z Powązek — powiedział maszynista, biorąc „drogę“.

I kiedy w salce telegrafu pomocnicy zawiadowcy nie znajdowali słów na określenie poczciwości i zalet duszy nieboszczyka, których się jeszcze dziś rano nikt nie domyślał, mechanik wyprowadził z Kielc pociąg towarowy i ruszył ku Bzinowi rozwozić po linii wieść żałobną.

V.

Pierwszy zjawia się wujaszek Piotr.

Jest to gospodarz, dzierżawi majątek nieduży, ale w dobrej kulturze, Niewygoda, o kilka wiorst od Chęcin. Miał więc do Kielc niedaleko.

Śmierć szwagra przewidywał on nie od wczoraj. Mimo to wieść żałobna wywarła na nim wielkie wrażenie.

Wygląda pognębiony bardzo i łza mu zacieka pod powiekę, gdy patrzy na pozostały drobiazg.

Ale nie daje się powodować długo żalowi, bo coś robić przecie potrzeba. Powiada naprzód do dzieci z udaną otuchą:

— A no, trudno, Pan Bóg da, że jakoś to będzie.— I przedewszystkiem, zajmuje się przeprowadzeniem ciała nieboszczyka do kościoła.

Gdy to zrobiono, uczuwa, że jest jednak głodny. Nic dziwnego, wyjechał naczczo i do tej pory nie miał nic w ustach.

— I one pewno głodne — myśli.

I zabiera wszystkich do restauracyi.

— Ciotka chciała przyjechać ze mną — tłómaczy żonę — ale chora. Jeżeli tylko będzie mogła przyjedzie na pogrzeb.

Wolałby mieć żonę przy sobie, bo nie lubi radzić na własną odpowiedzialność, tembardziej, że temperament ma żywy.

Obsiedli wszyscy stół restauracyjny dokoła. Wuj zamawia cztery obiady. Myśli, że będzie dosyć.

Potem przypatruje się Ludkowi.

— Jaką ten chłopiec ma dużą głowę.

Ludek zamyka zaraz usta, które zawsze trzyma otwarte. Niepotrzebnie dziś. Bronia tego nie spostrzega, nie patrzy na niego znacząco, nie mówi do niego z naciskiem.

— Ludku...

— Ale on rozwinięty jest?—pyta wuj.

— Tak sobie...

Wnoszą wazę.

Bronia zaraz wstaje, przeciera szybko wujowi talerz, na którym jakieś próchno zostawiono, ujmuje za łyżkę wazową, poważnie i wprawnie miesza kilka razy w wazie i zwraca się do wujaszka Piotra:

— Wujowi sporo, czy średnio!

— Trochę, moja złota.

Przypatruje się wuj, jak zręcznie jej to idzie, jak troskliwie pamięta o każdym.

— Poczekajcie trochę, niech przestygnie, mówi Bronia do Ludka i Henia, gorąca.

I myśli sobie wuj, że już tak pewno wypadnie, że ta dziewczyna się jemu dostanie, do Niewygody. Chłopców to potrzebaby w mieście, aby dać wykształcenie, albo choćby fach, dziewczyna

zaś na wsi gospodarstwa wiejskiego się nauczy. Tak i ciotka Stasia myśli.

Przynoszą sztukę mięsa, Bronia wujowi daje najlepszy kawałek. Antolkowi przy kości, Leonkowi z tłuszczem, jak kto lubi, małym daje pokrajane na drobne kawałeczki.

Tymczasem mieszkanie ich doprowadza się do porządku. Pani Wandowska chciałaby ciągle coś zrobić dla sierot i ciągle nie wie co, podczas gdy Marcinowa razem z panią Majerankowską wywietrzyły i wykadziły palonym cukrem pokoje, prześcieradło, kołdrę i poduszki, na których umarł gospodarz, wyniosły na górę i świeżą bielizną zasłały łóżko.

Wróciwszy do domu, znalazł wujaszek Piotr dwie depesze:

Jedną z Łodzi od siostry:

Przyjadę dziś w nocy

Amelia.

Ciotka Amelia była wdową po urzędniku kolei łódzkiej, utrzymywała w Łodzi sklep z wyrobami nicianymi i obarczoną była sama czworgiem dzieci.

Wujaszek Piotr wzruszył się:

— A jednak przyjeżdża — pomyślał, wziąwszy pod uwagę, że jej trudno jest interes zostawić na dni kilka, a i o pieniądze na podróż niełatwo być musi.

Druga depesza przychodziła z Warszawy od brata. Ten był kasyerem banku przemysłowego

i powodziło mu się najlepiej z rodziny; samej pensyi miał cztery tysiące rubli rocznie

Przyjedziemy jutro

Adolf, Regina.

Wujaszek Piotr jeszcze się więcej wzrusza.

— Oboje przyjeżdżają, oboje—myśli — i ona, i ona także.

I robi sobie wyrzuty, że miał dotychczas nie dosyć dobre wyobrażenie o sercu bratowej.

Na tych odrazu najwięcej wujaszek Piotr liczył.

Im będzie najłatwiej coś uczynić dla dzieci Michała.

Nad wieczorem wreszcie przychodzi i ostatnia oczekiwana depesza od siostry nieboszczki żony Michała. Biedna to kobieta, chorowita, przez męża zahukana; aptekę mają w Winnicy i także sporo dzieci.

Mimo to nie uchyla się od obowiązków rodzinnych.

Obłożnie chora przyjechać nie mogę, moglibyśmy wziąć na wychowanie jedno, w żadnym razie nie więcej.

Karolina.

Wujaszek Piotr nabrał więc jaknajlepszej otuchy.

Przy herbacie wieczornej trochę o przyszłości z dziećmi zatrąca.

— Wy dwoje możecie już rozumieć o co idzie — powiada do Anatola i Broni. — Otóż widzicie, że zginąć nie zginiecie, nie...

— Wiedzcież, że ojciec był na dwa tysiące rubli zaasekurowany; polisę schowałem u siebie... ale o tem nikomu ani mru... mru... rozumiecie.

Popił herbaty.

— Ciotka Karolina chce jedno wziąć, ja się też od niczego nie uchylam, ale myślę, że chłopcom w mieście być potrzeba, coś skończyć, czegoś się nauczyć... Dziewczyny miejsce, zaś właściwsze na wsi... ale to wszystko jutro się wyklaruje... A wy się nie martwcie. Z pomocą Bożą, jakoś to tam będzie... Nalej mi, Broniu, jeszcze herbaty...

Anatolek przy najbliższej sposobności wyciągnął Bronię do pierwszego pokoju.

— Słyszałaś ty: chcą nas rozebrać — szepnął jej do ucha.

— Słyszałam.

— Broniu, my się nie dajmy.

— Nigdy w życiu...

— Czy to my nie możemy dać sobie rady. Słyszałaś! mamy dwa tysiące rubli. Jak nam chcą dopomagać, to niech tak pomagają.

— Właśnie!

— Nie pozwolimy się rozdzielić.

— Za nic w świecie.

VI.

Ciotka Amelia nie przyjechała zapowiedzianym pociągiem w nocy, ponieważ, pomimo nadzwyczajnego pośpiechu, nie zdążyła sobie przygotować żałoby. Wyjeżdża dopiero nazajutrz rano z Łodzi i spotyka się w Bzinie ze stryjem Adolfem i stryjenką Reginą, którzy dążą z Warszawy i w ten sposób przybywają do Kielc razem około czwartej po południu.

Znana jest w rodzinie ciotka Amelia, jako osoba bardzo energiczna i w słowach nie przebierająca. Wygląda też (gruba, czerstwa, czerwona na twarzy) na kobietę prostą, szczególniej obok stryjenki Reginy, która jest damą, ubraną wykwintnie, dla wszystkich ugrzecznioną i dosyć jeszcze powabną.

Stryj Adolf, siwy już kompletnie, starannie wygolony, ma minę poważną i pełną dyplomatycznej dyskrecyi, właściwą ludziom, przywykłym do czynienia z wielkiemi sumami pieniędzy.

Wuj Piotr całuje się z dubeltówki ze stryjem

Adolfem i ciotką Amelją, stryjenkę Reginę zaś całuje w rękawiczkę.

— Jak to poczciwie, że i pani przyjechała, jak to poczciwie — mówi wujaszek Piotr z serdecznością w głosie. — Trzebaż przecież coś uczynić z tymi robakami.

I w głębi duszy trochę jest zawstydzony wujaszek Piotr, że tak zawsze mało miał sympatyi do pani Reginy.

Tym razem jednak wujaszek Piotr myli się od a do zet co do prawdziwych intencyi, jakie skłoniły panią Reginę do towarzyszenia mężowi na pogrzeb jego brata.

Pani Regina wie dobrze, iż z pozostałymi robakami coś potrzeba uczynić — i tego się właśnie boi. O swoim mężu ma przekonanie, iż jest to wzór niedołęgów. I dlatego nie chciała go puścić samego w tę niebezpieczną podróż. Adolf! On byłby zdolny wszystkich pięcioro sprowadzić do Warszawy im na kark. Pani Regina jedzie więc po to jedynie, aby samej być obecną przy tym podziale obowiązków i to z nich jedynie na siebie przyjąć, czego w żaden sposób uniknąć się nie da. W każdym zaś razie, to zapowiedziała kategorycznie, obowiązek nowy przyjmie wyłącznie w formie jakiejś tam sumki miesięcznie, którą się płacić będzie na wychowanie dzieci, nie inaczej.

I ani mowy o przyjęciu kogokolwiek do domu.

Mimo to wszystko stryjenka Regina nie jest z gruntu złą.

Tysiące gorszych by się od niej znalazło, ale tak jakoś było, że ktoś z rodziny Rabniewi-

czów przeciwnym był, aby Adolf się z nią ożenił. Adolf na tę przeciwność zresztą nie zwrócił żadnej uwagi, ale pani Regina uczuła to dotkliwie i nabrała do rodziny męża wogóle niechęci, którą oto już lat ośmnaście pielęgnuje. Może jednak ważniejszą od tej niechęci rzeczą jest to, iż pani Regina przywykła do ustalonego raz trybu i porządku domowego, a przyjęcie dziecka przewróciłoby to wszystko do góry nogami.

Idą wszyscy kupą całą na obiad do restauracyi.

Po obiedzie panie wracają do domu i dla wypoczynku po męczącej podróży zdejmują gorsety, tymczasem wujaszek Piotr wyciąga stryja Adolfa niby „na czarną kawę“ do cukierni, w rzeczywistości zaś na buteleczkę zieleniaku do handelku.

Stryj Adolf ocenia wartość zieleniaku.

— Teraz to tylko na prowincyi można dostać jakiego takiego węgrzyna— powiada.

Popijają małymi haustami złoty sok.

— Cóż tam u ciebie słychać? — pyta wuj Piotr.

— A cóż? Ciągle jednakowo.

— Więc dobrze?

— Niezgorzej.

Po chwili pyta stryj Adolf.

— A u ciebie?

— Thy! Jak u gospodarza. Dobrze nigdy być nie może... Urodzi się owies, to grochy przepadną, żyto masz piękne, to kartofle zgniją... A już rzadki dzień, aby coś nie padło, coś się nie spaliło, nie zrobili ci szkody... Ale się łata i pcha, aby dalej, aby bliżej śmierci.

I dolewają jeden drugiemu.

Aż i dno butelczyna pokazała.

Wuj Piotr chce jeszcze drugą postawić, ale stryj Adolf wstrzymuje go za ramię i mówi:

— A no, to w takim razie moja kolej...

I sam stawia butelkę.

Wuj Piotr radby wiedzieć, co tam Adolfowie postanowili, boć musieli się już między sobą porozumieć, a o nich najwięcej idzie.

Skręca więc rozmowę na nieboszczyka naprzód, a potem na sytuacyę.

Ale stryj Adolf coś nie wyraźnie.

— A no, tak, tego—mówi—juści...

Wuj Piotr trochę zły powiada wprost:

— Spodziewamy się wszyscy, że wy się nie uchylicie przecie w takiej okazyi. Święty obowiązek...

— Ale któż o uchyleniu mówi — protestuje, lecz zawsze niewyraźnie, stryj Adolf.

— Wam to przecież najłatwiej... Dzieci własnych nie macie.

— Pogada się o tem, pogada... Tylko widzisz, ja nie chcę nic decydować bez żony... Toby ją mogło rozdrażnić na dzieci.

— Jest racya—przyznaje po chwili wuj Piotr—z babami należy ostrożnie...

— Jeszcze jak...

Sączą więc w spokoju do końca drugą butelczynę.

Nareszcie wieczorem dzieci zamknięto w pierwszym pokoju, a w drugim przystąpiono do wielkiej narady.

Ledwie wuj Piotr wspomniał coś, że „czas

wszystkim jest drogi, a więc...“ ciotka Amelja powiada:

— Co tu długo gadać, wy sami przecież wiecie, że na mnie już nic walić niemożna... Ja jestem biedna wdowa i jeszczem swoich dzieci nie odchowała... Ja nieraz głowę tracę, skąd tu wziąć grosz, dalibóg! A że nie próżnuję, to możecie popatrzeć, jakie mam ręce.

Wyciągnęła przed nich ręce, ukazując czerwoną i zgrubiałą skórę.

— Jeszcze teraz w Łodzi stagnacya... Nic nie idzie. Emerytura na szkołę nie wystarcza dla chłopaków, a wam mówię tu jak na spowiedzi, że mam takie dni, w których i rubla nie utarguję w sklepie. Z czego tu ich ubrać, wykarmić, już nie mówię o komornem... Niby to dziecko, zdaje się, że nie kosztuje? Ale! Czy dałby kto wiarę, że mój Janek, osiem lat chłopiec ma, zjada trzynaście pierogów na jedno posiedzenie... Trzynaście, powiadam wam... Ja stara więcej nie zjem jak sześć, siedem, a on potrzebuje trzynaście... I ta stagnacya to największe nieszczęście... No, ja nie mogę, nie mogę... Róbcie sobie moi państwo, co chcecie, ja nie mogę!

Rozłożyła ręce na znak rezygnacyi.

Wuj Piotr, korzysta z okazyi, aby powiedzieć:

— Sprawa tak stoi: Karolina chce jedno, można jej dać najmłodszego chłopaka, który najwięcej jeszcze potrzebuje opieki. Ja chętnie wezmę dziewczynę. Anatolka trzeba zostawić w Kielcach, na stancyę go gdzie oddać; chłopak jest już w trzeciej klasie i uczy się nieźle, do czwartej pewno przejdzie. Szkoda byłoby przerywać. Profesorowie go

lubią, może teraz będą mieli, jako dla sieroty, więcej jeszcze względów. Niech on choć skończy coś, jeżeliby inni nie mogli. Potem im dopomoże... Trzebaby więc złożyć się na opłacenie stancyi i wpisu, zresztą będzie się można postarać, aby go od wpisu uwolniono, a na wakacye może chłopiec do Niewygody przyjeżdżać...

Przestał.

A że nikt na to ani słowa, więc wuj Piotr pośpiesza dodać:

— Ja to mówię tylko tak, od siebie, równem prawem, jak i wszyscy, wcale nie większem... Tak mi się wydaje... Zresztą radźcie...

— Co tu radzić, kiedy tak jest dobrze — poczyna ze zwykłą sobie werwą i stanowczością ciotka Amelja.— Niech chłopiec skończy, skoro zaczął i dobrze idzie. Jeszcze łaska Boska, że chce się uczyć. Mój w tym roku skończy szkołę rzemieślniczą, ale co ja z nim użyłam, mój Boże... W trzech klasach siedział po dwa lata, a w piątej to już myślałam, że nic z tego nie będzie. Dziewczynie pewno na wsi najlepiej będzie, a już w Niewygodzie krzywdy nie będzie miała, ja to wiem. Karolina zaś niech bierze małego, gdy chce i może. Jabym też chciała, ale Bóg mi świadkiem, nie mogę, nie mogę!

Znowu ręce rozkłada.

— A no, to już tylko, pozostaje dwoje — powiada wuj Piotr.

Długie milczenie.

Stryj Adolf spokojnie je przeczekuje.

— Niech ona gada—myśli sobie.

Czuje wreszcie stryjenka Regina, że ostateczna chwila nadeszła i mówi ułożone z góry zdania:

— My chętnie się do kosztów przyczynimy, ale do siebie do domu nie możemy nikogo przyjąć. Ja z mężem corocznie wyjeżdżamy zagranicę, więcby nie było przy kim zostawić dzieci.

Ta zagranica wydaje się pani Reginie wspaniałym argumentem.

Ale ciotka Amelja wzrusza ramionami rubasznie.

— Ja nie byłam zagranicą, jak żyję — powiada.

— My jeździmy zagranicę, nie dla przyjemności, ale dla zdrowia—odpowiada stryjenka Regina.—Oboje jesteśmy chorzy i ja i mój mąż.

— A pani myśli, że ja zdrowa jestem! Na każdą zmianę powietrza to mam takie darcie w nogach, że myślę, że już zwaryuję. Doktorzy mnie od dziesięciu lat wysyłają do Ciechocinka. Ale raz niema za co, a choćby i było, to niema kiedy. Człowiek codzień, jak w tym młynie, ciągle wkółko. Jedno się skończy, to zaraz drugie się zaczyna.

Stryjenka Regina mówi głosem lekko już drżącym od tłumionej złości:

— I przytem ja wyznać muszę otwarcie, że nie umiem chodzić koło dzieci.

— A pani myśli, że ja odrazu umiałam? Musiałam się nauczyć. Niewielka zresztą to sztuka, za miesiąc to już tak pani będzie umiała, jakby pani od urodzenia nic innego nie robiła.

Pani Regina spojrzała na nią nienawistnym wzrokiem.

— My możemy materyalnie tylko—mówi, usiłując napróżno dać swemu głosowi wyraz stanowczości (zbyt jest na to zdenerwowana). — Mój mąż po pracy potrzebuje spokoju w domu.

Wuj Piotr spojrzał na stryja Adolfa.

Stryj Adolf przez cały czas nie wypuścił pary z gęby, w jego ustach zaciętych widać, że zdecydowany jest milczeć do końca. On możeby inaczej zadecydował całą sprawę. Ale wypowiedzieć wojny domowej nie śmie, bo wie dobrze, czem się to kończy, a głównie, jak to długo trwa. Milczy więc, a milczy głównie przez zaciętość względem żony. Gadaj sobie sama—myśli. Wie, że jest ona wściekła w duszy i wcale niema dla niej współczucia.

— Więc jakże będzie?—pyta wuj Piotr.

Długie milczenie.

—Hm!—odzywa się wreszcie ciotka Amelja.—A ileż państwo przeznaczą miesięcznie na utrzymanie tych dwojga chłopców?... Jabym ich nie mogła tak wziąć, Bóg mi świadkiem. Żebym mogła, jednej chwili nie robiłabym ceregieli... Ale jeżeliby mi kto koszta zwrócił, to co innego...

Twarz pani Reginy nagle się rozjaśnia.

Stryj Adolf oddycha.

W duszę wuja Piotra wstępuje spokój.

Nareszcie!... Od tej chwili dola dzieci jest, na pewien przynajmniej czas, ustaloną.

VII.

Przez ten czas w pierwszym pokoju także trwała narada.

I nad tą samą kwestyą...

Tylko, że tu porozumienie i jednomyślność osiąga się odrazu.

— Słuchajcie — powiada Anatolek głosem na ile go stać uroczystym — chcą nas rozdzielić, rozłączyć... My nie powinniśmy się dać.... słyszycie... Żeby nie wiem co! Ja i Bronia będziemy się wami opiekowali. Powiedz mu, Broniu, wytłomacz...

— Co my mamy chodzić do obcych — mówi Bronia—przecie my jedną rodzinę stanowimy... Więcej jej nie przychodzi na myśl.

Anatolek więc zbiera siły.

— Poczekaj, to ja im powiem... Uważacie.... powinniśmy się nie dać i już... Żeby nie wiem co!.. Czy to Bronia nie potrafi być gospodynią? Kto się od dwóch lat domem całym zajmował? I czy się źle zajmowała?!

— Dobrze—poświadcza Leonek.

Ludek i Henio patrzą tylko w oczy, to Anatolkowi, to Broni, patrzą bez wielkiego zrozumienia, czego się chce od nich w tej uroczystej chwili, ale z wielkiem zaufaniem.

— Bo uważacie, Bronia wszystko gospodarstwo bierze na siebie, a ja! Ja was będę bronił od wszystkiego złego. Niechby was kto spróbował zaczepić, to mu zaraz wszystkie zęby powybijam. A Leonek także dorasta, on także się nikogo nie boi.

Było to dyplomatyczne pochlebstwo.

Ale trafia ono doskonale do celu. Leonek przybiera postawę wprost bohaterską,

— Ja! Co jabym się miał kogo bać.

— Pieniądze także mamy—mówi Anatolek. — Słyszeliście, jak mówił wujaszek Piotr... dwa tysiące rubli... Za to można wszystko mieć, za to się utrzymamy wszyscy, dopóki nie dorośniemy, a jak dorośniemy, to resztę podzielimy równo między sobą... Taki jest mój plan... Co ty myślisz, Broniu?

— Bardzo dobry plan.

— A ty, Leonek?

— Za dwa tysiące to można cały sklep kupić.

— No, a wy?

Ludek wyłupił oczy.

— Ile to dziesiątek jest w rublu?—pyta z wytężonym namysłem.

— Dwadzieścia—odpowiada Leonek szybko.— On tego nawet nie wie!

Ludek zwraca jeszcze oczy pytające na starszego brata, jakby się bał być zwiedzionym.

— Dwadzieścia—potwierdza Anatol.

— Dwa tysiące kapitału, a teraz procent? — powiada Anatolek, przypominając sobie „regułę procentową”.— Trochę później, to ja wam policzę, ile będziemy mieli samego procentu. I to nie wszystko... Niech ja tylko do czwartaka przelezę, to jeszcze z korepetycyi będę miał... Zobaczycie.

— Słuchaj—powiada Leonek—ten chłopak od szewców, to chodzi do fabryki i dają mu co sobotę dwa złote. Ja także pójdę do fabryki, ja także będę zarabiał.

— Ja ciebie do gimnazyum przygotuję.

— To nic. Ja będę pół dnia do gimnazyum, a pół drugie do fabryki.

— Kiedy nam nie zbraknie pieniędzy, nie bójcie się.

— Ale zawsze...

Bronia wtrąca pojednawczo:

— To się zobaczy.

Anatolek reasumuje sytuacyę:

— Więc, jak chcecie. Niech każdy powie sam, bo my nie przymuszamy nikogo. Jeśli się komu chce iść na poniewierkę do obcych ludzi, na dolę sierocą, to niech idzie sobie z Panem Bogiem... i krzyżyk na drogę... My nikogo gwałtem zmuszać nie będziemy. Ale my z Bronią nie damy się rozłączyć, choćby nas miano posiekać na drobniutkie kawałeczki. Prawda Broniu?...

Wyciągnął do niej rękę.

Bronia podała mu swoją ruchem śmiałym i zdecydowanym.

— O tak!

— I ja także!—woła Leonek.

Henio bierze w ręce spódnicę siostry.

— I ja—mówi.

Wszyscy zwracają oczy na Ludka.

Ludek, widząc to, zamyka otwartą przed chwilą gębę i przymyka wyłupione oczy.

— A ty Ludek?—pyta Anatol.

— A ty?—pyta Leonek trochę groźnie.

— I ja.

— Więc wszyscy?—pyta Anatol.

— Wszyscy, wszyscy — woła Leonek z zaiskrzonemi oczyma i zaczerwienionymi policzkami.

— Nic się nie bójcie — mówi Anatol poważnym tonem.—Ojciec i mama będą się za nami modlili w Niebie... Pan Bóg nad sierotami czuwa... Tylko powinniśmy się wszyscy kochać, a wszystko będzie dobrze...

Bronia wzruszona, ze łzami w oczach, całuje Henia i Ludka.

— Więc mogę na was liczyć — pyta jeszcze Anatol.

— Możesz, możesz!—woła Leonek.

— A więc słuchajcie! Teraz już idzie o to tylko, aby się nie dać...

— Ja się nie dam!—woła Leonek, marszcząc groźnie brwi.

— Ja też się nie dam! — woła nagle cieniutkim głosikiem najmłodszy Henio.

Wszyscy z admiracyą zwracają się ku niemu.

— To będzie ruch!—decyduje Leonek.

Anatol go całuje. Bronia bierze go z rozrzewnieniem na ręce.

— Nie dasz się?—pyta go słodko.

— Nie dam.

Leonek z zaczepną miną zwraca się do Ludka:

— A ty się dasz?

Ludek nic nie odpowiada.

— Dasz się?—woła Leonek już groźnie.

Ludek nic.

Leonek się zapala.

Ale Bronia obejmuje Ludka ramieniem i przyciska go do siebie.

— Wszyscy będziemy razem.

Anatolek odprowadza Bronię do kąta.

— Widzisz, wszystko dobrze.

— Widzę.

— Co nam zrobią?

— Nic.

— Tylko, żebyśmy się wszyscy trzymali.

— O to się nie bój.

— Bo przecież ty dasz sobie radę, prawda!

— Dam, bądź spokojny.

— I ja sobie dam.

— Ja wiem.

— Nic nam nie zrobią, zobaczysz.

I kiedy w chwilę potem otworzyły się szeroko drzwi do drugiego pokoju, stoją dzieciaki, trzymając się mocno, jak forteca, wszystkie w kupie. Bronia w środku otulająca rękoma dwóch najmłodszych, na froncie.

Anatolek i Leonek z zaiskrzonemi oczyma, głowami podniesionemi wyzywająco do góry.

Wuj Piotr kładzie rękę na głowie Anatolka i powiada ze współczuciem:

— Moje drogie robaki, przyjdzie wam się rozstać.

— My się nie rozstaniemy — przerywa mu ostro Anatolek.

— My się nie damy! — woła Leonek odważnie.

— Co! Nie dacie się! — staje zdziwiony wuj Piotr.

— Nie damy—mówi Bronia.

— Nie damy, nie damy!

Ciotka Amelja rozkłada ręce.

— Nie dadzą się! Oni się nie dadzą! Słyszano rzeczy! Jakby to komu powiedzieć, to nie uwierzy!

Stryjenka Regina wodzi po dzieciakach zdumione oczy.

Dzieciaki jeszcze mocniej w kupkę się zbijają: wprost jedno w drugie się wciska. Ludek i Henio poobrywali Broni zupełnie spódnicę.

Wuj Piotr jest wzruszony. Ale usiłuje nie dać tego poznać po sobie.

— Widział no kto podobnych bębnów! — powiada.

— A cóż wy tu sami poczniecie?— pyta ciotka Amelja.

— Wszystko co potrzeba — odpowiada krótko Anatolek.

Stryjenka Regina robi półgłosem uwagę:

— Jakie harde dzieci...

Wuj Piotr wzdycha.

— Więc słuchajcie, cośmy tu zdecydowali — powiada. — Anatolek zostanie w Kielcach, Bronia pójdzie do Niewygody...

— My wszyscy zostaniemy Kielcach — mówi ostro Anatolek.

— My się nie damy!—woła Leonek coraz zuchwalej.

— Co! jak! gdzie, gdzie zostaniecie? — pyta ciotka Amelja.

— A tu—odpowiada Anatol.

— Któż wam tu jeść będzie dawał!

— A Bronia—odpowiada Leonek.

Ciotka Amelja spogląda na wuja Piotra, kiwając głową.

— Słyszane to rzeczy...

A wuj Piotr coraz czulszym wzrokiem spogląda na dzieciaki

— Widział kto co podobnego—szepcze.

Ciotka Amelja chce wziąć Leonka za rękę.

— Ty, mój zuchu, pojedziesz ze mną do Łodzi...

Ale Leonek nie daje się wziąć za rękę, wciska się pomiędzy Anatolka i Bronię.

— Ja ztamtąd zaraz ucieknę—woła.

Stryjenka Regina zwraca się do stryja Adolfa:

— Ładnie dzieci były chowane, niema co mówić...

A na to ciotka Amelja:

— A pewno, że ładnie, bo widzi pani jak się kochają... Pierwszy raz słyszę, żeby dzieciaki tak się trzymały i na taką odwagę zebrały... Wzięłabym je tak teraz wszystkie ze sobą do Łodzi, żebym jeno mogła, ale nie mogę, nie mogę, Bóg mi świadkiem, że nie mogę...

Wzdycha głośno.

— Jak to się trzyma jedno drugiego!—dodaje ze wzruszeniem.

— To jest tylko bałamucenie dzieci — mówi stryjenka Regina do męża.

Stryj Adolf i tym razem nic nie odpowiada.

To milczenie ciągłe rozdrażnia panią Reginę, która w około siebie czuje atmosferę nieprzychylną, a znikąd poparcia.

Zbliża się więc do męża i mówi przez zaciśnięte zęby.

— Cóż ty dziś nic nie mówisz?

Stryj Adolf odpowiada jej słodkim głosem:

— Nie mam co, duszko...

Wuj Piotr patrzy na dzieciaki oczyma zamyślonemi.

— Czyżbyś ty mogła dać wszystkiemu radę?— mówi do Broni.

Dziewczynka odpowiada poważnie:

— Dam, przy Boskiej pomocy.

Ciotka Amelja zwraca się do stryjenki Reginy:

— Pani powiada, że te dzieci źle wychowane! Niech mi pani pokaże takie, co są lepiej...

Stryjenka Regina udaje, że tego nie słyszała i pyta:

— Długo my tak będziemy stali jedno naprzeciw drugiego!

Na to wuj Piotr, jakby obudzony z zamyślenia, powiada:

— A no, moi państwo, trzeba się jeszcze zastanowić. Kto wie, może znajdzie się sposób zostawienia tych robaków razem, skoro się nie chcą dać... Pogadajmy...

I zaczyna się jeszcze jedna narada.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ II.

I.

Wuj Piotr wracał na Niewygodę w usposobieniu, które psychologowie, zamiłowani w terminach ścisłych, nazywają nijakiem. Nie umiał określić, czy był rad, czy był nierad, ani osądzić, czy postąpił całkowicie dobrze, czy też należało uczynić zupełnie co innego. Myśli jego podobne były do ciężarków, położonych równomiernie na obu szalach wagi; ramię wagi drga jeszcze od samej czynności składania ciężarków na szalki, ale samo drganie jest równomierne i zapowiada stan równowagi. Dla wagi jest to, być może, stan błogości; dusza ludzka wtedy jednak znajduje się w doskonałej równowadze, kiedy mocno i stanowczo ciąży w jedną właśnie stronę. Takiej równowagi duszy wuja Piotra brakło właśnie, kiedy, dojeżdżając do Chęcin, niepewnym wzrokiem spoglądał na wyniosłe wzgórze, niespodziewanie urosłe na tej gładkiej i zielonej płaszczyźnie, wzgórze, na którem gdzieindziej wybudowanoby zbójeckie, jastrzębie gniazdo Raubrittera, a które w tym kraju oddano pod pałac kobiecie i królowej.

Stan psychiczny wuja Piotra objawiał się tem, że nietylko o tem, co uczynił, ale o niczem wogóle nie mógł myśleć ze swobodą, właściwiej zaś mówiąc, nie był zdolny myśleć o niczem. Bo co jedną myślą się zajmie, to mu się zdaje, że ma o czemś ważniejszem i pilniejszem do pomyślenia! a jak myśl zmieni, to znowu powiada sobie: Po co ja się tem teraz zajmuję!

Ostatecznie jednak wie wuj Piotr, że wszystko się sprowadza do tego, co powie o tem Stasia!

Na stacyi czeka z parą dzielnych cugowców Tomek w krakowskiej, granatowej, wyszywanej sukmanie, w rogatywce na głowie.

— Jak tam w domu?—pyta wuj Piotr.

— Wszystko dobrze, wielmożny panie.

Ot, ulżyłoby wujowi Piotrowi, gdyby tak mógł nawymyślać o co Tomkowi. Rzuca też bystrem okiem na konie i bryczkę... Bryczka, jak z fabryki, konie, jak lustro.

Siada więc w milczeniu i zły.

— Wio!—powiada Tomek.

Tomek należy do furmanów, którzy fach swój poznali w stajni niewygodzkiej. W stajni zaś tej koniom jest dobrze, ludziom trochę mniej może... Ale jak który ztamtąd wyjdzie, to się dwory o niego dobijają.

Trzyma Tomek bat w ręku, ale to od parady. A konie, wedle metody niewygodzkiej, prowadzi głosem.

Całą też drogę do nich gada.

— Wolniej, konie, wolniej...

To znowu:

— Prędzej, konie, prędzej...

Albo też.

— Prawiej, konie, prawiej...

Wuj Piotr zaś głowę w zamyśleniu zwiesił i przygotowuje sobie argumenty.

Ciotce Stasi nie pozwoliła na pogrzeb przyjechać zawzięta fluksya. Kiedy przyszła depesza o śmierci szwagra, najokrutniejszy ból szarpał jej pół twarzy, od oka aż po za ucho. Obiecała więc przyjechać na sam pogrzeb. W dzień zaś pogrzebu ból wprawdzie ustał, ale twarz tak jej napuchła, że niesposób było pomiędzy ludźmi się pokazać.

W ten sposób, co zrobił wuj Piotr, zrobił na własną odpowiedzialność.

Otóż ta odpowiedzialność mu ciężyła, w obec dwóch instancyi, żony naprzód, sumienia następnie.

Pani Stasia nie była osobą łatwą w codziennem pożyciu.

Naprzykład ze sprzedażą ziarna co rok się powtarza ta sama historya. Przychodzi zima, żydzi zaczynają się kręcić... Sprzedać czy poczekać?... Cała sztuka, aby trafić w najlepszą chwilę. A kto to może powiedzieć, czy jutro spadnie, czy się podniesie. Żyd może i wie, ale czy to po nim pozna! A ileż to razy wpadają i oni?

Więc sprzedać, czy poczekać?

Postanawia pan Piotr sprzedać.

— Sprzedajesz?—powiada pani Stanisława.

— Aj Piotruś, coś tym żydom zbyt pilno...

Czy nie lepiej byłoby poczekać?

Jeżeli pan Piotr sprzeda, a żyto zleci, jego szczęście.

Ale jeżeli się podniesie...

— A widzisz! Ja cię ostrzegałam, ja cię wstrzymywałam... Nie powiesz, że nie... Mówiłam ci! żydom zbyt pilno, wstrzymaj się...

— Nie mówiłaś, złoto, żeby się wstrzymać...

— Mówiłam, że się nie pali... Ale ty tak zawsze... A jak się pan Piotr wstrzymuje, to pani Stanisława ostrzega!

— Ej, Piotruś, żebyś ty tego żyta nie przetrzymał. Pamiętaj, pilnuj się i dobrej okazyi z rąk nie wypuszczaj... Odprawiłeś Mendla w zeszłym tygodniu, a patrz nikt się ani pyta...

Kiedy zaś pan Piotr wprost się pyta:

— Więc jakże Stasiu, sprzedać, czy nie?

Pani Stanisława ramionami rusza i odpowiada:

— A mnie co do tego! Rób jak chcesz... Nie wtrącaj ty mi się w moje gospodarstwo; ja nie będę wtrącała się w twoje...—I podobnie ze wszystkiem. Kiedy się coś nie zrobiło jeszcze, a zrobić tak lub inaczej należy, pani Stanisława ostrzega, wątpi, krytykuje, ale poradzić, nie poradzi nigdy.

— Rób, jak chcesz: tyś głowa w domu... A gdy coś pan Piotr uczyni na własną rękę, o! wtedy pani Stanisława sąd swój ma i stanowczy!

— Jak można tylko najgorzej! — zapewnia. — Zkąd ci to właśnie przyszło... Nie rozumiem, doprawdy. Ja ci zresztą powiadam jedno słowo: zobaczysz, zobaczysz! I popamiętasz moje zdanie...

Jeżeli to, co pan Piotr postanowił był, obraca się na dobre, oczywiście, jako o rzeczy naturalnej niema o tem mowy.

Ale jeżeli przytrafi się coś nie tak, jakby można było sobie życzyć!

— A co? Nie mówiłam?—tryumfuje pani Stanisława—czy nie mówiłam! Proszę cię, Piotruś, powiedz mi tylko, czym nie mówiła? Mnie nie idzie o nic, tylko o satysfakcyę moralną. No, co! przypominasz sobie? Zresztą musiałbyś chyba całkowicie stracić głowę... Wszak mówiłam...

Pan Piotr, pognębiony, przyznaje:

— A no mówiłaś...

— A widzisz, widzisz... Ja mam zawsze racyę...

Trzeba istotnie przyznać pani Stanisławie, że miała racyę, jeżeli niezawsze, to często, a działo się tak dzięki temu, iż w ogóle rzeczą jest rzadką, aby kolej wypadków układała się zgodnie z projektami i życzeniami ludzkiemi. Pan Piotr jednak nie spostrzega się nigdy, jak to łatwo jest mieć racyę przy podobnej metodzie i w głębi duszy piastuje przekonanie, iż jego Stasia jestto kobieta z głową wyjątkową, znająca świat nawskroś i ludzi na wylot.

Oczywiście pani Stanisława pozostała teraz wierną swej metodzie.

— Czy wyście zwaryowali wszyscy razem? — powiada, wysłuchawszy relacyi pana Piotra.

— Dzieci zostawić same! Na własnej opiece! Nie! Piotruś, przyznaj się, sobie dworujesz ze mnie.

— Co ja miałem robić? — tłomaczy się pan Piotr.

Pani Stanisława kiwa głową.

— Coś miał robić? Wszystko, tylko nie to, tylko nie to właśnie... To pani Reginy projekt, nieprawdaż?.

— Bynajmniej, duszko... To same dzieciaki tak... Powiadam ci, jakbyś je zobaczyła tak w kupce, a takie zdeterminowane, jak powiadały, że za nic się nie dadzą rozdzielić... Toby ci się także uczyniło łzawo...

— Mnie? Być może. Ja jestem tylko słabą kobietą. Ale tyś przecież mężczyzna, jak powiadasz. Dziecinne fantazye nie powinny mieć wpływu na twe postanowienia. Tu szło o przyszłość dzieci, o dzieci twojej rodzonej siostry...

— Toć wiem, ale powiedz, jak należało postąpić?

— To do mnie nie należy! Ale to pewna, że ja na twojem miejscu nie pozwoliłabym się za nos babom wodzić i tak w pole wyprowadzić, jak ty się dałeś... A zdaje ci się, że masz rozum, a ja ci powiadam, że ty się znasz na koniach i na tem już koniec. Tak, jak jest, toć te dzieciaki teraz są na naszych rękach wszystkie pięcioro.

— Ależ bynajmniej, duszko...

— Co ty mi gadasz. Na to wyszło. Każdy sobie ręce umył, ślicznie, pięknie... A ty jeden wziąłeś na kark cały ciężar...

— Ależ pozwól mi dojść do słowa...

Pani Stanisława żachnęła się:

— Powiesz może, że mi się usta nigdy nie zamykają...

Boć naprawdę, to pan Piotr oto do czego się zobowiązał: do zaglądania czasem do Kielc (a przecie człowiek choć raz na miesiąc jeździ tam za własnymi interesami) i potem do zasilania sierot tem, czego sam nie kupi, jarzyn nieco, masła trochę, parę serków...

— Na pięcioro osób... A nawet na sześcioro, bo ze służącą... na sześcioro...

— Jest dalej polisa na dwa tysiące rubli, każdy sąsiad da siedem procent, to uczyni się sto czterdzieści rubli. Jest z czego opłacić mieszkanie i sprawunek...

— Pięciorga... pamiętaj, że pięciorga...

Ciotka Amelja oczywiście nic nie może się przyczynić. Ale Adolfowie zobowiązali się formalnie płacić po piętnaście rubli miesięcznie.

— Piętnaście rubli! Człowiek, który ma cztery tysiące rubli pensyi... I wyście na to przystali...

Tymczasem... póki dzieci są małe...

Jak nieco podrosną i wydatki się zwiększą, Adolfowie stosownie podwyższą swój udział.

— A jakże! Zobaczysz, jak ci podwyższą!

— Zobowiązali się przecież, formalnie się zobowiązali... A Adolf jest człowiekiem, na którego słowo można liczyć... Rzecz wiadoma... Wreszcie Karolina także coś przyśle kiedy niekiedy...

— Będziecie odbierali... na księżycu...

A moralne względy... Dzieci, rozrzucone po świecie, wychowują się obcemi sobie, bez prawdziwych uczuć rodzinnych, które taką siłą czynną i odporną mogą stać się w życiu... Przy cudzem ognisku trudno się ogrzać. Idzie o to, czy dadzą sobie radę! Z trudem może w pierwszym roku... Ależ chłopiec jest już wyrostkiem i wcale dzielny. Inteligencya tryska mu z oczu. Dziewczyna od roku może zajmuje się już całym domem i wcale jej to zręcznie idzie... Wuj Piotr to widział... Niech więc pasują się trochę z trudnościami zawczasu; to nic nie szkodzi, tem łatwiej

potem będzie im dawać sobie radę w życiu. Wyrosną na dzielnych ludzi, na użytecznych członków społeczeństwa. Zresztą tylko początki pójdą im trudno. Z każdym miesiącem będzie to starsze, roztropniejsze, mocniejsze, wytrwalsze; z każdym miesiącem będzie im łatwiej.

I przytem nieprawdą jest, aby dzieci zostawiono same. Wcale nie. Jest przy nich Marcinowa, kobieta stara, doświadczona, czysta, pobożna, moralna, dobrego serca. Czego chcieć więcej? Opiekę będą miały i dozór i usługę zarazem...

W końcu, wszystko to jest warunkowe; przynajmniej tej warunkowości użyto, jako środka moralnego do utrzymania dzieciaków w karbach i w porządku. Zostawia się ich razem i samych, pod warunkiem, że Anatolek przejdzie do czwartej klasy, że Leonek przygotuje się do pierwszej i zda, że mali nauczą się w domu pisać i czytać, że Bronia nie zaniedba przy gospodarstwie nauki i tak dalej. I kto wie, czy to nie podziała na dzieci lepiej, aniżeli najlepsza opieka.

Wymowny się zrobił wuj Piotr tak, że mu samemu od własnych słów uczyniło się w duszy jaśniej.

Ale pani Stanisławy to wszystko przekonać nie mogło.

— Gadaj ty sobie, ile chcesz, a ja ci mówię: zobaczysz na czem to się skończy, wspomnisz jeszcze nieraz moje słowa.

II.

W dwa tygodnie niespełna, wuj Piotr zagląda do Kielc.

Godzina dziesiąta rano.

Bronia, przepasana długim fartuchem, kończy słać łóżka. Ludek bawi się z Heniem.

— Wujaszek!

— Jak się macie? A gdzie Marcinowa?

— Poszła do fary.

— Anatol w szkole?

— W szkole.

— A Leonek?

— Poszedł do znajomego chłopca.

— Otrzymaliście wczoraj produktów trochę z Niewygody!

— Otrzymaliśmy, dziękujemy...

Wuj Piotr rozbiera się i siada na fotelu.

— No, powiedzże mi, dziewczyno, jakże wam tu idzie.

— Dobrze...

— Zupełnie dobrze?

— Zupełnie dobrze.

— I dasz sobie radę?

— Dam.

Pyta wuj z odrobiną żartobliwości.

— A chłopaki cię słuchają?

Bronia odpowiada poważnie:

— Słuchają.

— Nie buntują się.

— Nie.

— Nie przytrafiło się wam nic osobliwego przez ten czas!

— Nie...

— To chwała Bogu...

Popatrzał wuj Piotr na bawiących się chłopców.

— Czy ten mały nie ma wody w głowie?

— Ech, nie!

— Chodźno tu, Ludek.

Ludek przystanął i potem powoli, jakby z namysłem, zaczął się zbliżać do fotela.

— Zdrów jesteś?

Ludek spojrzał na Bronię.

— Powiedzże wujowi—mówi Bronia.

— Zdrów jesteś—mówże!

— Zdrów.

— Nic cię nie boli!

— Nie.

Wuj odprawia go bawić się.

— Nieśmiały bęben.

— On nie jest nieśmiały—tłomaczy Bronia— tylko on jest taki.

On jest *taki*.

— Jaki?

— Taki. To znaczy, że właśnie taki, jak jest. Wuj zresztą rozumie.

— Moja Broniu, czy ty zapisujesz wydatki?

— Nie.

— Trzeba prowadzić rachunki koniecznie. Ciotka poleciła mi powiedzieć ci to. Idzie naprzód o porządek, a potem czy was nie oszukują.

— Dobrze, proszę wuja.

Przeszedł się wuj po mieszkaniu.

— O której u was obiad!

— Jak zawsze, o trzeciej.

— Ja idę teraz na miasto, za interesami. Przyjdę do was na obiad.

Kiedy wuj wyszedł, Bronia woła na Ludka:

— Tyś był u Każka?

— Byłem.

— A trafisz sam?

— Trafię.

— A nie zabłądzisz?

— Nie.

— To idź do Każka i powiedz, że wuj przyjechał, więc, żeby Leon koniecznie przyszedł na obiad.

Ludek poszedł.

Ten Leonek to teraz wychodzi i przychodzi, kiedy sam chce. A na obiedzie to go nigdy niema o porze właściwej.

Przychodzi Marcinowa z miasta.

— Moja Marcinowa, trzeba wszystkiego więcej dziś zrobić, bo wujaszek Piotr będzie na obiedzie.

I bierze się Bronia do zamiatania pokojów, żeby Marcinowa nie spóźniła dziś obiadu.

Przychodzi Ludek.

— Trafiłeś?

— Trafiłem.

— Idzie Leonek?

— Nie było Leonka. Ta pani powiedziała, że poszedł razem z Kaźkiem do innego chłopaka...

— Do którego!

— Ta pani nie powiedziała.

— Trzebaż było się zapytać.

— No, ja nie wiedziałem.

Bronia załamuje ręce. Mój Boże! Jak Leonka nie będzie na obiedzie, to wuj gotów sobie nie wiem co pomyśleć. I jeszcze może być źle.

Zarzuca chusteczkę na szyję i wybiega na miasto. Dowiaduje się, na szczęście, do którego chłopaka poszli Leonek z Kaźkiem; ale u tego drugiego chłopaka niema nikogo: poszli wszyscy razem do trzeciego chłopaka.

Leci Bronia do trzeciego chłopaka.

— Ach! Bogu dzięki, jest Leonek...

— Wujaszek Piotr, przyjechał—mówi mu zadyszana i uszczęśliwiona.

— No, to co!

— Powiedział, że będzie na obiedzie. Trzeba żebyś i ty przyszedł.

— Jak mi się podoba, to przyjdę!

— Ale widzisz wujaszek Piotr...

— A bo ja się jego boję?

Bronia zaczyna go prosić.

— Przyjdź, mój złociuśki, ja bardzo cię proszę, mój najdroższy.

Leonek jest odważny, ale nie zawzięty.

— No, dobrze, przyjdę...

Bronia rzuca okiem na jego kapotkę; otwarta na oścież i na niej ani jednego guzika.

— Przegrałeś—pyta.

Leonek staje kwaśny.

— Okropnie mi dziś nie szło! Ale to nic! Ja się odegram.

Mój Boże! Jak to wuj zobaczy!

— Chodź zaraz, to ci przyszyję!

— A masz?

— Kupimy po drodze.

Leonek się namyśla.

— Idź i kup sama. Mam jeszcze jeden ważny interes. Przyjdę za dziesięć minut.

— Ale na pewno.

— Na pe!

— Pamiętaj!

Wraca uszczęśliwiona do domu.

Coby tu zrobić jeszcze, żeby wuj nie pomyślał, że teraz wszystko idzie źle!

— Aha! ciepłej wody!

— Chłopcy, trzeba umyć szyję!

Konieczność ta nigdy nie mogła przemówić chłopcom do głębi przekonania, od czasu zaś śmierci ojca wątpliwości ich nabrały mocy nadzwyczajnej.

To też przy ciepłej wodzie powstaje jednomyślna, a gorąca opozycya.

Opozycya ta prowadzi krótką drogą do otwarcia pertraktacyi.

Henio stawia swoje warunki.

— Ja chcę cztery duże czekoladki.

— Dwie dam.

— Nie, daj trzy!

— No, dam trzy!

— Ale pamiętaj, tylko szyję. Za uszy osobno.

Ludek woli zawsze pieniądze, on sam sobie kupi, co zechce.

Warunki Ludka: dziesiątka.

Targ...

Staje na sześciu groszach...

Zawija Bronia rękawy, powyżej łokci i zabiera się z energią do Henia, który wprawdzie dał się kupić, ale nie może, mimo to, przełamać swych nienawiści i okropnie skrzywiony staje przed miednicą.

— Wuj może i zauważył, że oni tacy brudni— myśli Bronia, pucując zażarcie chłopaka—ale przecie to było rano; nawet podłogi nie były jeszcze zamiecione. Teraz nie zobaczy.

Nadchodzi i Leonek.

Bronia oddycha.

Wprawdzie miał przyjść zaraz, za dziesięć minut, a to już godzina upłynęła, ale to nic. Jest nareszcie.

Leonek ma minę niezwykle tryumfującą.

— Kupiłaś guzików?—pyta.

— Kupiłam...

— Widzisz, nie potrzeba. Odegrałem się...

I wysypuje z kieszeni na stół garść czarnych, kościanych guzików.

— Zdejm prędko kapotkę!—woła Bronia, ocierając ręce.

Guziki w parę minut potem są na swoich miejscach.

— Ale mi daj tamte, któreś kupiła, na wszelki wypadek—mówi Leonek.

O wpół do trzeciej wraca Anatolek z gimnazyum z tornistrem na plecach.

Bronia podbiega do niego.

— Wujaszek przyjechał.

— Gdzie jest?

— Wyszedł na miasto, ale zaraz pewno przyjdzie. Mówił, że będzie na obiedzie.

— Długo był tu?

— Z godzinę może.

— I cóż?—Dobrze wszystko...

— Dobrze, zdaje mi się... Mówił tylko, żebym zapisywała wydatki, to ciotka będzie przeglądała.

Anatolkowi nie bardzo to przypada do gustu. Ale mu zaraz różne ideje przychodzą do głowy.

— Nic się nie bój. Już my damy sobie radę.

Przychodzi i wujaszek Piotr. Siada z dziećmi do stołu, chwali zupę, rozmawia z Anatolkiem, rozmawia z Bronią, uśmiecha się do małych, którzy aż się świecą od mydła.

— Więc mówicie, że wam dobrze?

— Bardzo dobrze! — wyrywa się pierwszy Leonek.

— Dobrze—mówi Anatol.

— Dobrze—powiada Bronia.

Po obiedzie idzie wuj do kuchni do Marcinowej jeszcze pogadać.

Marcinowej o służbę dobrą chodzi, chwali więc sobie taki porządek.

I nad wieczorem wraca wuj Piotr do domu, całkowicie o losy siostrzeńców spokojny.

— Próżne były strachy—myśli sobie.—Dzieci dobre, to się i zgadzają ze sobą. Wszystko jaknajlepiej jednem słowem...

Przywozi też żonie bardzo różową relacyę o tem dziwnem gospospodarstwie.

Ale pani Stanisława stoi murem przy swojem zdaniu.

— Miłe złego początki—powiada. — 'Poczekaj troszeczkę, a zobaczysz... zobaczysz...

III.

Wieczór.

Wszyscy zebrani w drugim pokoju, naokoło stołu, kończą herbatę. Anatolek utopiony jest przytem w „Tajemniczej wyspie”, w tomie drugim, podczas gdy siedzący obok niego Leonek zaczął właśnie „Tajemniczą wyspę” tom pierwszy.

Anatolek odrywa się kiedy niekiedy, aby przekonać się, czy powieść ta nadzwyczajna robi takie same, jak i na nim wrażenie.

— Już wszedł kapitan Nemo?—pyta.

— Nie jeszcze.

— A gdzie jesteś?

—Jak im brakuje powietrza w tej żelaznej izbie.

— To zaraz będzie i kapitan Nemo.

Po chwili pyta:

— A co! Ładne?

— Ba! — odpowiada krótko, ale wymownie Leonek.

Henio skończył swą szklankę herbaty.

— Chcesz jeszcze?—pyta Bronia.

— Nie.

Po chwili zwraca się do siostry.

— Dziś sobota, prawda?

— Prawda.

— To jutro będzie niedziela.

— To będzie legumina na obiad?

— Będzie. A jaką chcecie leguminę?

Henio prędko odpowiada:

— Ja powiem cały obiad.

— No, powiedz...

— Na pierwsze: faworki...

— Dobrze. Cóż dalej?

— Na drugie... na drugie...— —namyśla się—naleśniki z wiśniami.

— Dobrze, naleśniki z wiśniami. A co na leguminę?

— Krem.

Bronia zwraca się do braci, zatopionych w „Tajemniczej wyspie".

— Słuchajcie, Henio ułożył obiad na jutro.

Chłopcy podnoszą głowy.

Bronia powtarza im „menu" Henia.

Anatolek uśmiecha się i wraca do „Tajemniczej wyspy".

Leonek zatrzymuje się dłużej jednak przy podniesionej kwestyi jutrzejszego obiadu.

— A co będzie na zupę!

— Krupnik pewno.

Leonek się krzywi.

— Nie może być zupa pomidorowa?

— Pomidorów niema.

— To cytrynowa.

— Kiedy śmietana taka droga.

— Raz na tydzień, w niedzielę...

Bronia się zastanawia.

— No ja się jeszcze obliczę... zobaczę.

— Zrób cytrynową zupę, moja kochana!

Chce już wrócić do „Tajemniczej wyspy”, ale spostrzega, że Ludek przysłuchuje się rozmowie, jak zwykłe, z jakiemś jakby wytężeniem myśli, z oczyma szeroko rozpostartemi i otwartą buzią.

Mówi więc do niego głosem ostrym, tonem wojskowej komendy:

— Gęba na zamek!

Ludek, jakby się zaraz w siebie cofnął, buzię zamyka szeroko, ale przybiera minę człowieka bardzo obrażonego i spogląda w stronę Broni.

Bronia zwraca się do Leonka:

— Mógłbyś być grzeczniejszy.

— Abo ja co niegrzecznego powiedziałem? — broni się obłudnie Leonek.—Gęba na zamek! Czy to słowo: zamek jest nieprzyzwoite? Nie wiedziałem... Na drugi raz będę wiedział.

I, spoglądając z pod oka na Ludka, który znowu uchylił usta, woła znowu tonem komendy:

— Gęba na rygiel!

Ludek krzywi się jakby do płaczu:

Bronia gniewa się na Leonka.

— Nie drażnij-że się...

Anatolek odrywa się od „Tajemniczej wyspy”.

— No, ty, ty!—ostrzega Leonka.

— Co?—pyta ostro Leonek, który nikogo się nie boi.

Anatolek chce mu coś jeszcze powiedzieć w tym samym tonie, ale nagle zmienia ton:

— Już jest kapitan Nemo?

— Nie jeszcze.

— A gdzie jesteś?

— Jak ten nic nie rozumie ani po angielsku, ani po francusku...

— To właśnie jest kapitan Nemo.

— Taak?—dziwi się Leonek. — To on nie rozumie w żadnym języku?

— Zaraz się o tem dowiesz...

Chłopcy wracają do „Tajemniczej wyspy", jednak Leonek nie zapomina o młodszym braciszku i co chwila rzuca na niego śledcze, ukradkowe spojrzenia. Dopilnowywa wreszcie chwili, w której usta Ludka uchylają się i woła:

— Gęba na zasuwkę!

Ludek wykrzywia się.

Bronia gniewa się na Leonka.

— Dasz ty mu pokój?

— Już daję, naprawdę — powiada wreszcie szczerze Leonek.

Bronia zwraca się pocichu do Ludka:

— Widzisz, to i twoja wina, bo jakbyś miał buzię zamkniętą, to onby ci nie mógł przycinać.

Dziewiąta.

Chłopcy zaczynają kłaść się spać, jeden po drugim: Henio, w dziesięć minut Ludek, w pół godziny Leonek.

Przy stole pozostaje Bronia z Anatolkiem.

— Jakże ten tydzień?—pyta brat.

— Tak sobie.

— Więcej wydałaś, niż w tamtym?

— Więcej nie, ale pewno nie mniej. Jeszczem nie robiła rachunku.

— Pewnoś małym nakupowała łakoci co tylko wlezie? Przyznaj się...

— Nie, wcale nie tak dużo.

— A Leonek bardzo cię naciągnął?

— Nie bardzo, troszeczkę.

— No, no, przyznaj się.

— Doprawdy.

— Bo widzisz, mnie na jutro potrzeba koniecznie pół rubla...

— Koniecznie ci potrzeba?

— Jakbyś w żaden sposób nie mogła, to ostatecznie... jednak...

— Pół rubla?

— To już do pierwszego nic od ciebie nie wezmę... Prawda, że dziś dwudziesty dziewiąty, ale ja to wyrównam. To ten tydzień był taki, że mi tyle było potrzeba.

Bronia sięga do kieszeni i daje bratu pół rubla.

— A możesz?—pyta brat.

— Ja to sobie już oszczędzę w przyszłym tygodniu.

— Dziękuję ci, moja droga...

Anatolek chowa pieniądze i wstaje. Ale tym razem ma nieco skrupułów:

— Ty, Brona, nie myśl, że ja będę tak zawsze od ciebie wyciągał pieniądze...

— Ja nie myślę.

— To tylko teraz tak mi wypadło, żem miał tyle koniecznych potrzeb.

— Ja wiem.

— Ale niedługo, to ja ci będę jeszcze z pomocą przychodził... Jak tylko dostanę korepetycyę... A to już niedługo...

— A czy ty pewien jesteś promocyi do czwartej?

— Naturalnie. Jestem ósmym uczniem. Mógłbym być nawet trzecim, czwartym. Ale nie chcę psuć profesorów.

— Bo to wszystko od tego zależy...

— Ty ciągle, widzę, boisz się, że nam mogą co jeszcze zrobić. Ale ja ci mówię: niech spróbują! I ty myślisz, że im bardzo zależy na tem, czy nam jest źle, czy dobrze? My się na siebie oglądajmy, my na siebie liczmy. Niedługo zresztą już do tego, abym ja czemś został, a wtedy...

— Zawsze to jeszcze...

— No, tak, ale korepetycyę dostanę już na przyszły rok. Dobranoc Bronia!

— Dobranoc!

Anatolek rozbiera się i kładzie do łóżka, nie rozstając się jeszcze z „Tajemniczą wyspą".

Bronia się zastanawia nad domowemi sprawami. Jutro obiecała braciom leguminę na obiad; trzeba ją dać, skoro się obiecało, ale za to obiady w przyszłym tygodniu muszą być skromne, żeby się finanse wyrównały.

— Ech! nic, będzie dobrze.

Zagląda do Leonka, Ludka, Henia.

Śpią wszyscy spokojnie.

Idzie więc do kuchni.

— Co Marcinowa kupiła dziś za tego rubla?

Marcinowa rachunek zdaje.

— Niech panienka zapisuje: mąki pół funta... ośm groszy; octu za cztery grosze; pięć jajek po trzy grosze, to piętnaście groszy...

Nachyliła się Bronia nad książeczką wydatków i notuje pilnie...

IV.

Z wujaszkiem Piotrem mieć do czynienia, to jeszcze prawdziwa przyjemność.

Przyjedzie do Kielc, zajrzy raz do dzieci, pójdzie na miasto, potem znowu, przed odjazdem, zajrzy drugi raz, posiedzi, pogada z każdym, wesoło z Ludkiem i Heniem, żartobliwie z Leonkiem, poważnie z Bronią i Anatolkiem; w to i owo się wtrąci, czasem da jakąś radę, która się dzieciom zupełnie nie podoba i o której zaraz zapominają, czasem znowu powie coś, co im się przydaje i pomaga; przejrzy dziennik Anatolka, wypyta się czy Leonek przygotowuje się do gimnazyum i grozi, że „na przyszły rok sam go weźmie na egzamin", aby się przekonać, czy chłopak czasem nie zbija bąków za dużo — w końcu trochę morałów powie wszystkim razem i każdemu z osobna (a jakże! tego nie pominie! sumienie zawsze go niepokoi nieco, nie mówiąc już o niepokoju, jaki mu sprawia z tego powodu kiedy niekiedy pani Stasia) i wypłaci Broni miesięczną pensyę; potem uściska wszystkich, rzeknie

słowo otuchy, jak naprzykład: „Nie bójcie się nic, raki: Bóg da—będzie dobrze" lub coś w tym rodzaju i pojedzie na swoją Niewygodę.

Ale z ciocią Stasią, to zupełnie co innego.

Oj! z nią—sprawa jest nielekka...

Niepodobieństwem jest wogóle, aby ciocia kiedykolwiek z czegokolwiek była zadowoloną. Rób co chcesz, zawsze cioci Stasi zdawać się będzie, że należało zrobić albo coś wprost przeciwnie, albo coś poprostu innego.

Jakeś zrobił źle, albo choćby tylko niedobrze, no! będziesz miał za swoje. A jakeś dobrze zrobił, to także ci to przepuszczone nie będzie, bo nie zdołasz dowieść, aby ta rzecz nie mogła być zrobiona lepiej.

Anatolek ma czwórki z języków starożytnych.

— Czwórki? Dlaczego nie piątki? Skoro masz zdolności do języków, to należy z tego korzystać...

Do matematyki za to mniej okazuje sympatyi.

— Właśnie. Należy pracą wytrwałą nagrodzić brak daru naturalnego i starać się choćby tylko o czwórki.

Broni wystarcza pensya na utrzymanie domu (z jakim trudem i mozołem o tem nikt niema pojęcia... ale wystarcza).

— Dlaczego oszczędności nie robisz? Powinno się zawsze mieć na niespodziewany wypadek. To dopiero jest porządek...

Chłopcy czytają: „Dzieci kapitana Granta".

— Czy nie byłoby właściwiej, aby jeden robił przez ten czas zadania, a drugi z gramatyką gruntowniej się obeznał?

Na obiad dziś jest rosół.

— Czy nie było lepiej krupnik zrobić?

— Wczoraj był krupnik.

— To dziś należało ugotować barszczyku. Barszczyk bardzo jest zdrowy.

Ciocia Stasia nie jest złośnica, o nie! Nie gniewa się nigdy prawie; rzadki wypadek, żeby głos podniosła; mówi zazwyczaj tonem, no, nie słodkim co prawda, ale raczej łagodnym, równym, pełnym perswazyi; zniecierpliwienia w głosie jej niema, tylko wątpliwości, krytyka, przekładania, nauki.

Słowa jej padają jednostajnie i łagodnie, niby kropelki z rynny u dachu, zrazu pieszczące ucho, potem nudne, potem nużące, w końcu ciężkie i nie do wytrzymania.

Chłopcy jeszcze, jak chłopcy. Młodsi słuchają, ale nie rozumieją, więc im to nie dokuczy, starsi znowu rozumieją wprawdzie, ale za to nie słuchają, więc i tym nic.

Ale Bronia ma z ciocią Stasią krzyż Pański. Ciocia Stasia potrafi przez całą godzinę naprzykład przeglądać książeczkę rachunkową, wydatek za wydatkiem, pozycya za pozycyą.

A ta książeczka rachunkowa Broni kryje niejedną tajemnicę.

Ale co się ukryje przed bystrem okiem cioci Stasi!

— Drobne wydatki—mówi ciocia — i to dwa złote! To wcale nie są drobne wydatki moja kochana.

Bronia się miesza.

— Cóż to mogą być za „drobne wydatki“, które aż dwa złote kosztują? A tu znowu „drobne wydatki" pół rubla. Pół rubla. Widocznie nie chciało ci się zapisać szczegółowo.

— Może...—szepcze Bronia.

Bronia nie wie, co to znaczy „nie chciało się“, jej zawsze się chce, ilekroć coś należy zrobić. Ale woli się już przyznać do tego, niż dać cioci szczegółowe objaśnienie co do owej tajemniczej pozycyi: „drobne wydatki“. Te dwa złote to guziki dla Leonka, pech tego chłopca prześladował znowu w tym tygodniu w nielitościwy sposób, nie dość, że przegrał guziki u kapotki co do jednego, ale wrócił do domu z kamizelką otwartą i przytem trzymając spodnie w rękach. Ani jedna część ubrania nie trzymała się na nim. A te pól rubla, to znowu Anatolek miał jakąś konieczną potrzebę. Jaką? Tego Bronia nie wie, ale potrzeba była konieczna, bardzo konieczna. Proponowała mu nawet, aby poczekał do przyszłego tygodnia. Ale on nie mógł w żaden sposób poczekać.

Ciotka czytała dalej:

— Zapałki dwa grosze, drzewo na rozpałki dwa grosze, szpilki trzy grosze...

— O! to są drobne wydatki. I te zapisujesz szczegółowo, a tam nic, ani słowa... Nie pamiętasz, na coś wydała te pół rubla?...

Bronia nic nie odpowiada.

Ciocia szuka dalej w książeczce.

— „Drobne wydatki", cztery grosze? Co to znaczy?

Co to znaczy? To znaczy, że Ludkowi trzeba było dać cztery grosze, aby zmienił brudną bieliznę. Ten chłopiec taki się teraz zrobił, że za wszystko trzeba mu dać coś pieniędzy, chociażby grosz w najgorszym razie, ale zawsze coś. Ale o tem ani słówka.

Cioci to się bardzo niepodoba, że Bronia nawet w tak drobnym razie nie zapisała, co to za „drobny wydatek". Takie prowadzenie rachunków, a żadne, to wszystko jedno.

A i tam, gdzie wszystko należycie jest zapisane, uwag swych ciocia nie skąpi. Rodzenki, migdały, na co te leguminy, na co te słodycze... A cukru co wychodzi! To nie sposób! Oni chyba kładą cukru do połowy szklanki. Oto co znaczy: dzieci same!

Wuj Piotr zawsze niespokojny czeka na powrót żony z Kielc.

— No, jakże znalazłaś?—pyta.

Pani Stanisława na razie odpowiada tylko:

— Lepiej mnie nie pytaj.

Więc wuj, markotny, milczy i czeka. Ciotka tymczasem załatwi, co pilniejsze, odpocznie ze zmęczenia podróżą i dopiero wtedy zaczyna się litania bez końca.

Wuj broni się przez pewien czas złym wrażeniom, ale w tem, co ciotka Stasia mówi, nie brak i rzeczy słusznych. Po prawdzie, to cały dom i ład leżą na głowie Broni, która trzynastu lat jeszcze nie ma.

Jakże może iść doskonale gospodarstwo, prowadzone takiemi wątłemi rączynami.

Wuj Piotr więc nie może się raz i drugi oprzeć uwagom i argumentom żony.

Wstaje wreszcie, doprowadzony do ostateczności.

— A no! to możeby posłać furmanki i przywieźć ich wszystkich z całym kramem na Niewygodę?—woła.

Ciotka Stasia spogląda na niego, jak się patrzy na waryata.

— Co ci znowu strzeliło?—mówi. — Chciałam Bronię samą, to trzeba było mnie usłuchać. A coby tu chłopaki robiły?

Wuj Piotr siada.

— Więc co począć, co! Poradź!

Ciotka Stasia, wierna swej metodzie, ramionami tylko wzrusza:

— Ja! Poradzić? A mnie co do tego! Ja zresztą jestem tylko biedna kobieta!

I milczy, dopóki się wuj nie uspokoi.

A jak się uspokoi, to znowu zaczyna...

— Coś chciał, to masz...

V.

Ta inklinacya cioci Stasi do piłowania ludzi zawsze i o wszystko gwarantuje dzieciom porządną opiekę. Wprawdzie sama ciocia Stasia jest wielką domatorką, a już Kielc, to specyalnie nie może znosić, do miasta więc zagląda nie często.

Ale za to wuj Piotr, przekonywany ustawicznie, iż popełnił „kolosalne głupstwo", wpada zobaczyć co się dzieje u dzieciaków już co najmniej po dwa razy na miesiąc, a często gęsto nawet i zanocuje w Kielcach, aby dobrze przyjrzeć się gospodarce tych zuchów, którzy się nie dali rozdzielić. Radby on zresztą to swoje „kolosalne głupstwo" naprawić, odrobić, bo mu ta odpowiedzialność, którą wziął na siebie w chwili lekkomyślności i pod wpływem rozrzewnienia, porządnie już zaczyna ciążyć...

Ale jak to odrobić?

Każdy rad, że się sam ciężaru pozbył. Sposobu niema odmienić już teraz.

Zresztą nie spostrzega nic, coby dawało poważniejszy powód do obawy o los dzieci. Idzie wszystko, jak szło w roku ostatnim, kiedy nieboszczyk ojciec więcej w łóżku przepędzał czasu, aniżeli w biurze.

Bronia rządziła domem, a chłopaki robiły co chciały. Poprzestaje więc wuj Piotr na posyłaniu dzieciakom z Niewygody, co się da, za swoją zaś bytnością w Kielcach stosuje obficie ciągle te same pedagogiczne środki:

— I pamiętajcie, że to próba — powtarza po raz nie policzyłbyś który—tylko próba. Jak Anatolek nie przejdzie do czwartej, jak Leonek nie zda do pierwszej, a Ludek do wstępnej, adiu Fruziu, każdy pójdzie w inną stronę.—Ta groźba wydaje skutki doskonałe.

Dzieciaki są bardzo dumne z tego, że się rozebrać pomiędzy ludzi nie pozwoliły, a chociaż dni im płyną, jak innym dzieciom, w duszach ich jest przecież coś uroczystego i poważnego, co kiedy niekiedy wychodzi na wierzch i łączy ich nanowo i mocno.

Groźby wuja zresztą jedną tylko Bronię niepokoją nieco.

— Jak myślisz?—pyta starszego brata.—Czy pójdzie wszystko dobrze?

— Głupstwo! Bądź spokojna...

— Ja wiem, że ty przejdziesz, ale oni?

— Nie bój się i o nich...

— Ale bo widzisz...

— Ja wiem, wiem... Od poniedziałku zabieram się do nich na ostro.

Anatolek obietnicę ma łatwą, a postanowienie, choćby najdonioślejsze, nic go nie kosztuje. Na dzień powszedni przecież słucha swej natury miękiej i nie zaprzątającej mu głowy myślami o jutrze.

O promocyę swoją istotnie jest spokojny. Chłopiec to zdolny, w językach starożytnych szczególniej mocny, same mu do głowy wchodzą; do matematyki mniej okazuje przekonania; ale ile konieczność wymaga, to robi.

Zresztą, choć się tam czasem i opuści nieco, to łatwiej mu to ujdzie, niż wielu innym.

Anatolek bowiem jest ogólnie lubiany i przez kolegów i przez profesorów. Obejście ma gładkie, miłe, grzeczne, uśmiech przyjemny, spojrzenie inteligentne; taktu mu przytem nic brak, nie powie nigdy nic, coby kogoś mogło obrazić, albo choćby niemile dotknąć. I staranny jest bardzo, co się osoby jego tyczy: czyściutko zawsze, bez plam na bluzie, czysty kołnierzyk i mankiety są przedmiotem usilnej jego troski, a do rękawiczek ma poprostu słabość, każdy lubi mieć z nim do czynienia.

Leonka Bronia jest mniej pewna.

Wprawdzie sam Leonek jest przekonany, że zda do pierwszej klasy i Bronia myśli sobie:

— Pewnie, że zda, jeżeli zechce...

Tylko: czy zechce?

Leonek udaje, że się wuja nic nie boi, jednak pod uwagę bierze to, iż jego obcięcie się może narazić całą rodzinę na rozsypanie po świecie. Przytem samemu chce się być w gimnazyum, głównie dla bluzki, mundurka i tornistra.

Ale czy to można liczyć na to, czego on chce?

U Leonka chęci się zmieniają, jak w panoramie; dziś to, jutro tamto.

Natura to wrażliwa, bujna, niespokojna, zapalona, zaczepna. Nie ma on na świecie tego miru, co starszy brat. Daleko mu zresztą do tych gładkich manier, które czynią Anatolka tak wszędzie pożądanym. Leonek o dobór towarzystwa nie troszczy się wcale; każdy mu dobry, z kim tylko można gdzie pójść, coś razem robić, godzinkę czasu przepędzić. Tyle też go w domu, co na lekarstwo. Czasem jednak zagląda do książki i na dłuższe przedstawienia Broni posiedzi nad kajetami.

A co za głowę ma chłopak! Ta jego głowa właśnie wszystko ratuje.

Anatołek należy do bardzo zdolnych uczniów, a jednak podziw go bierze, gdy robi,—tymczasem dorywczo, ale niezadługo ma się wziąć na ostro— lekcye z bratem. Leonek, byle się dotknął książki, to już umie na pamięć, byle mu raz powiedzieć, to już wie na całe życie.

Starszy brat przestrzega go czasem.

— Słuchaj, jak ty będziesz w sztubie, to pamiętaj nie leć na to, aby zostać prymusem.

Prymusem! Leonek zdaje sobie sprawę, jak to bywa w gimnazyum i wie on, że byłoby to czemś niegodnem wobec kolegów.

— Już ty się o mnie nie bój—uspakaja go Leonek, pewny zawsze siebie.

Bronia pyta często Anatolka, niemal po każdej lekcyi:

— Jakże? Zda on?

— Jeszczeby...

Zaufanie Anatolka bardzo rośnie do karyery młodszego brata.

Zawsze tylko ma te same obawy.

— Mnie się zdaje—mówi Anatolek do Broni— że on będzie leciał na same piątki.

Bronia leciutko wzdycha.

— Żeby tylko co gorszego do głowy mu nie przyszło.

Po chwili zastanowienia się przychodzi jednak na myśl Anatolkowi:

— Ech, nie! Prymusem nie będzie... Ze sprawowania będzie miał zawsze trójkę.

— Co gorszego!

U Leonka niedługo się na zmianę czeka. Okres namiętnego grania w guziki przeszedł i nagle chłopcu teatr do głowy wjechał. Porobił Leonek jakieś znajomości w teatrze z synem dyrektora i synem maszynisty i codzień jest na przedstawieniu i to za kulisami.

Pewnego razu oświadcza rodzeństwu:

— Ja już wiem, czem ja będę...

Anatolek spogląda na niego z ironią.

— Do teatru wstąpisz, co?

— Jakbyś wiedział.

Bronia zaniepokojona szepcze:

— Mój Boże, mój Boże...

Leonek patrzy na nią z pretensyą.

— E! bo ty zawsze... Przecież ja nie teraz zaraz wstąpię do teatru... Jak skończę gimnazyum... Wy myślicie, że to do teatru nauki nie potrzeba! Jeszcze więcej, niż gdzieindziej...

A widząc, że siostra się rozpogadza, zapomina o dyplomacyi i woła:

— Choć wy myślicie, że jabym nie potrafił już teraz zagrać „Mikada?“ Oj! oj!

Jestto właśnie sezon „Mikada“.

Bronia naradza się z Anatolkiem, gdy zostali sam na sam:

— Czy on naprawdę myśli o tym teatrze?

— E! smarkacz.

— Żeby on się z tem nie wygadał przy wuju, przy cioci.

— Taki znów głupi nie będzie...

Leonek po całych dniach śpiewa, gwiżdże, nuci i mruczy piosenki z „Mikada“. To wpada w ucho, udziela się i na jakiś miesiąc kładzie na całym domu stempel operetkowy.

Anatol, pakując rano do tornistra algebrę i chrestomatyę grecką, nuci sobie pod nosem

„Więc wesoło bawmy się”.

Mały Henio, który ma niezły słuch, nauczył się nawet całego jednego kupletu i, siedząc na krześle, z nożynami, wiszącemi wysoko nad podłogą, któremi przebiera do taktu, śpiewa:

„Żoneczki takiej trzeba mi, trzeba mi
„Z żoneczką taką to mi raj,
„W to mi graj!
„Aj! aj! aj!“

I nawet poważna Bronia, o ile nie ma głowy czemś bardzo zajętej, cerując chłopcom skarpetki, podśpiewuje sobie cichutko:

„A więc poślubi ten pan Jum—Jum.
„Bo znalazł się głupi,
„Co towar ten kupi.
„I jeszcze zapłaci gotiu"...

Jeden tylko Ludek nie daje się porwać skocznym melodyom; słucha wszystkiego bardzo uważnie, jakby chciał podsłuchać, patrzy na wszystko wybałuszonemi oczyma, jakby na coś nadzwyczajnego i sam udziału w niczem nie bierze.

Zapał Leonka do śpiewania nie trwa długo. Pokłócił się on o coś z synem dyrektora teatru, a nawet go trochę pobił i przestał chodzić na przedstawienia; wkrótce i sam „Mikado" wywietrzał mu z głowy.

Raz go o to zaczepia Anatolek:

— No, co! Już nie będziesz występował w teatrze?

Leonek szuka, czemby się obronił wyraźnemu szyderstwu brata.

— A co!—mówi.—Czyby to było tak źle? Moglibyście wszyscy chodzić do teatru za darmo.

Teraz częściej zagląda do książki, choć Anatolek jeszcze nie wziął się do niego na ostro.

Z Ludkiem Bronia najłatwiej jeszcze trafi do ładu. Chłopiec za pieniądze wszystko zrobi. A ma obiecane za zdanie do wstępnej klasy trzy ruble.

Chwilami wydaje mu się, że to jednak niepewna rzecz, by dano mu na własność tak ogromną kupę pieniędzy, choćby nawet za dokazanie takiej sztuki, jak zdanie do wstępnej klasy.

— Ale ty mi dasz na pewno? — dopytuje się Broni.

— Z pewnością.

— Trzy ruble, prawda?

— Tak, trzy ruble.

— A jak mi nie dasz, to co?

— Czy ja cię kiedy zwiodłam?

Ludek tak naprawdę, to niema zaufania do nikogo na świecie, ale jeżeli jużby komu trochę wierzył, to jednej Broni:

Uczy się więc, pisze na metodzie i na papierze, ale w duszy gra mu ciągła niepewność. A nuż nie da mu Bronia trzech rubli? Potwierdza mu Bronia niemal codziennie, że da, raz wraz powołuje się na to, że mu zawsze dotrzymywała obietnic.

Ludek myśli sobie:

— Tak, to prawda, ona zawsze wypełniła, co mi przyrzekła, ale nigdy jeszcze nie chodziło o trzy ruble.

W każdym razie Ludek robi postępy.

Bronia myśli o wszystkiem i o wszystkich, tak, że nie ma czasu pomyśleć o sobie. Rok cały już chodzi w jednej sukience, oto ani się spostrzegła, że na gwałt trzeba na nową kupić materyału.

O pensyi ani marzenia. Musi Bronia zakończyć swoje wykształcenie na połowie drugiej klasy.

Żeby dzień miał czterdzieści ośm godzin, to i tak byłoby czem je zapełnić. Zaczęła Bronia przed pół rokiem czytać historyę świętej Genowefy i jeszcze daleko do końca, a książeczka ma sześćdziesiąt stroniczek. Tylko to jedno, że się wprawiła w dodawaniu; rachunki robi szybko i bez omyłek, to cały jej postęp w ostatnim roku. Spoważniała Bronia, pobladła i wychudła.

Łatwo bo to było postawić się kantem krewnym i zawołać: „Nie dajmy się wziąć?“ skoro do tego brania nikt tak znowu wielkiej nie pokazywał ochoty. Ale teraz trzeba się nie dawać co dzień, nie dawać biedzie, nieporządkowi, nieporadności, brakowi kierunku, brakowi doświadczenia, brakowi sił. Chłopcy o tem nie pomyślą; wszystko na ramionach Broni leży. I temi ramionami dźwigać trzeba ciężar życia od rana do wieczora. Bronia odważnie jednak je nadstawia. Byle chłopcy się uczyli. Wszystko będzie dobrze.

O tem, że ona uczyni to, co do niej należy, nietylko dziewczyna nie wątpi, ale nawet nie myśli. To takie naturalne...

I kiedy znużona i zmęczona, zabiera się ostatnia w całym domu do spoczynku, klękając przed obrazem świętym, modli się pobożnie i gorąco do Matki Boskiej, aby raczyła chłopcom przy egzaminach dopomódz.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

CZĘŚĆ III.

I.

Te pierwsze lata sieroctwa, ten początkowy okres własnego gospodarstwa, to jeszcze nieledwie różowe pasmo szczęśliwości.

Pewnego dnia przychodzi z Niewygody wieść niespodziewana i żałobna: wuj Piotr nie żyje.

Na razie wydaje się to rzeczą wprost nieprawdopodobną.

Kiedyż on mógł umrzeć?

Onegdaj jeszcze, tak, onegdaj był przecież w Kielcach, przywiózł sam dwa duże słoje konfitur, jadł obiad z dziećmi, żartował, że się grochówka trochę przypaliła, rozmawiał przez cały czas w jak najlepszem usposobieniu.

Prześladowano jeszcze tak wesoło Ludka.

Wuj obiecał, że jak chłopiec przejdzie do drugiej, to pozwoli mu w wakacje na koniu jeździć, a jak skończy całe gimnazyum bez zatrzymania się w żadnej klasie, to mu konia podaruje, i ładnego (a wuj Piotr ma stajenkę bardzo piękną). Obietnica używania konnej jazdy niewiele mówi chłopcu,

ale konia, przytem ładnego, to chciałby mieć na własność już teraz.

I pod wrażeniem bolesnej wiadomości przypominają sobie dzieci ostatnie słowa, które od wuja słyszały, powtarzają jego żarty ostatnie; jego gesty, jego spojrzenie, jego wyraz twarzy tak im żywo, a uroczyście stają w wyobraźni.

Onegdaj, onegdaj jeszcze...

Nieraz jednak człowiek dziwnie mało czasu potrzebuje na ceremonję pożegnania się z tym światem; onegdaj wuj Piotr był zdrów i wesół i położył się spać zdecydowany ostatecznie na zrobienie próby z angielskim fosfatem, który mu spotkany w mieście sąsiad bardzo zachwalał; wczoraj zaś rano zgniewał się okrutnie na Tomka, który mu jednego z najlepszych koni zaciągnął, wrócił do domu purpurowo—siny na twarzy i, jak usiadł na fotelu, tak i na nim pozostał: krew mu zalała mózg.

Narazie w położeniu dzieciaków nie uczyniła ta strata żadnej zmiany.

Ot, swobody teraz nieco więcej, choć im, mówiąc szczerze, opieka wuja tak bardzo nie ciążyła.

Obawiano się troszkę, że teraz ciotka częściej truć im będzie spokój swemi wizytami.

Próżny strach.

Ciotka przyjechała wprawdzie niedługutko po pogrzebie do Kielc, do dzieci zajrzała, pieniądze, przez wuja Adolfa niedawno przysłane, Broni wręczyła i nawet tym razem do rachunków dziewczyny nie zajrzała. Strapiona tak była stratą swoją, czy też kłopotami własnymi zajęta.

W dwa tygodnie coś znowu zawitała do Kielc,

tym razem obejrzała dzienniki chłopców, Leonka za czwórki i piątki pochwaliła, Ludkowi za dwójkę z łaciny powiedziała krótki morał, a przejrzawszy książeczkę z wydatkami Broni, nietylko żadnych krytycznych nie uczyniła uwag, ale, zamknąwszy ją, westchnęła i rzekła:

— Dobrze moje dziecko.

„Dobrze” w ustach cioci Stasi! Tego Bronia nigdy jeszcze od niej nie słyszała.

Potem nie pokazała się przez dwa miesiące.

Co miesiąc jednak, zawsze wkrótce po pierwszym, jak za życia wuja Piotra, przyjeżdżała do Kielc z Niewygody furmanka, zasilając obficie gospodarstwo dzieciaków tem wszystkiem, co wieś rodzi, obficiej może nawet teraz, aniżeli za życia wuja Piotra.

Aż pewnego razu zjawia się ciocia Stasia, bardzo ciągle zasmucona, ale dla dzieci nietylko tym razem uprzejma, ale nawet słodka, serdeczna, czuła.

— Przyjechałam, drodzy moi, pożegnać się z wami.

Dzieci podnoszą na nią zdziwione i pytające oczy:

— Pożegnać?

Tak jest, pożegnać. Bo dzieci nie mają pojęcia, jak to trudno jest na świecie kobiecie samej, na to są za młode jeszcze. Ale to jest bardzo trudno. Próbowała ciocia Stasia narazie poprowadzić sama gospodarstwo na Niewygodzie, ale niesposób, wręcz niesposób. Co może jedna, słaba kobieta?

Gospodarstwo wiejskie bez męskiej ręki? Ani marzenia.

Więc postanowiła ciocia Stasia ustąpić z Niewygody. Z żalem, z bólem... Co to ją kosztowało? O tem dzieci nie mają pojęcia, bo na to są za młode jeszcze. Ostatecznie odstąpiła kontrakt dzierżawny, choć obowiązywał jeszcze lat sześć i sprzedała inwentarz żywy i martwy, oczywiście nie bez poważnych strat. I opuszcza Niewygodę... Ha! trudno! Taką była wola Boska.

Leonek się już martwi.

— To teraz ciocia będzie w Kielcach mieszkała?—pyta.

Nie, nie w Kielcach... Tu by za nic mieszkać nie mogła, za nic. Zawsze nie mogła znieść Kielc. Tymczasem wynosi się ciocia Stasia do Galicyi i osiedla w Krakowie. Różne ma projekty, ale dzieci tegoby nie zrozumiały, bo na to są jeszcze za młode. W każdym razie będzie, co Pan Bóg da.

I rozrzewniona ciocia Stasia poleca siostrzeńców opiece Najwyższego i daje im nieokreślone obietnice zachowania ich w swojej pamięci... Prosi też, aby i one o niej nie zapomniały, gdyż im była zawsze szczerze życzliwą, a co radziła lub krytykowała, to zawsze z najlepszego serca.

Zresztą ciocia Stasia ma kompletne zaufanie tak do inteligencyi Anatolka, jak i do charakteru Broni i wie, że oni i siebie i młodsze rodzeństwo potrafią wyprowadzić na ludzi..

Wierzy też, że Leonek chlubę przyniesie całej rodzinie... Co się tycze najmłodszych chłopców, to nie wątpi ani na minutę, że zarówno o postępowaniu Ludka, jak i Henia dochodzić ją będą same

tylko pochlebne wiadomości. Innych się wcale nie spodziewa... Jednem słowem, że wszystko będzie dobrze, a nawet jaknajlepiej...

Nazajutrz zaś przybyła do Kielc jeszcze jedna furmanka z Niewygody, tym razem parokonna i zapakowana prowiantami od dołu do góry, ale już ostatnia.

Chłopcy są tak dobrej myśli, mimo to, jakby ten ostatni dowóz prowiantów starczył na całą nieśmiertelność.

Bronia tylko chodzi niepewna.

— Ty się martwisz — mówi jej Anatolek. — Przecież ja do tego czasu dostanę chyba drugą korepetycyę.

Anatolek jest już w piątej klasie i dawno ma tyle upragnioną korepetycyę (i to może najlepszą w mieście, u prezesa dyrekcyi towarzystwa kredytowego), ale korepetycya ta na cały rok przeznaczona jest dla krawca. Tembardziej teraz musi się Anatolek ubierać przyzwoicie, skoro ma stosunki w lepszych sferach kieleckiego towarzystwa.

Próbuje Bronia zmienić nieco tryb domowy, wprowadzić oszczędności...

Ale nie sposób to uczynić w tej chwili.

Każdy z chłopców ma swoje przyzwyczajenia i nie lubi, aby mu je zakłócano.

Raz im spróbowała dać na drugie śniadanie w tornistry bułki, nieposmarowane masłem, awanturę zrobili.

Idzie więc wszystko po dawnemu przez pewien czas.

Aż raz wracają chłopcy ze szkoły i zastają Bronię we łzach.

— Co się stało?

— Nieszczęście! Rzeźnik mięsa odmówił.

Chłopcy są zdumieni.

— Odmówił? Dlaczego...

— A bo mu się jest tak dużo winno... Dziś na obiad sama tylko zupa i jarzyna.

Chłopcy chcą swą wspaniałomyślnością uśmierzyć łzy siostry.

— Głupstwo! Najemy się i tak...

Szlachetny Leonek zapewnia nawet:

— Powiem ci, że nie lubię mięsa...

Bronia nie przestaje szlochać.

— O! Bo to nie jest przypadek, to nieszczęście, poprostu nieszczęście... Katastrofa!

I zrozpaczona gospodyni przyznaje się przez łzy do bankructwa:

— Nietylko jednemu rzeźnikowi się winno... Wszędzie są długi... Nie mogłam wystarczyć... a wyście nie chcieli ustąpić. I u piekarza mam dług... i w sklepiku...

II.

Pewnego dnia przyprowadza Leonek kolegę na obiad.

Nie są to, doprawdy, czasy do przyjmowania gości.

Długi nie pospłacane jeszcze w zupełności, choć Anatolek odłożył wszystkie niemal swoje potrzeby i rygor oszczędnościowy trwa w całej pełni. Chłopcy dostają drugie śniadanie bez masła, na obiad zawsze albo rosół i sztuka mięsa, albo kapuśniaczek i golonka, nigdy pieczeni, niedziela obywa się bez legumin. Ludek musi też robić, co potrzeba, bezpłatnie. Krzywi się i grymasi, ale jest pod naciskiem gorącego usposobienia do oszczędzania całego rodzeństwa.

I pomimo tego rygoru ciężko jest, coraz ciężej.

Całe oparcie w wuju Adolfie, który regularnie przysyła swe piętnaście rubli co miesiąc. Ciocia Stanisława nawet adresu swego nie podała. Ciocia Karolina czasem coś na święta przyśle. A tu niewiele jest nadziei, aby Ludka od wpisu zwolniono, gdyż

od czasu, jak chłopiec nie dostaje pięciu groszy za każdą trójkę, a dziesięciu za czwórkę, coraz częściej dwójki przynosi.

Leonek bardzo dobrze, rozumie położenie i szczerze je odczuwa. Jeżeli więc przyprowadził gościa, to musiał mieć do tego ważne powody.

Na obiad dziś jest wodzianka z zaciereczkami i pierogi z wczorajszego mięsa.

Gościa posadzono na pierwszem miejscu, Bronia nakłada mu chojnie pierogów, a Anatolek uprzejmie rozmawia o wadach i zaletach inspektora i dyrektora, aby dojść do wniosku, który z nich jest lepszy; usiłuje przytem zniżyć swój poziom umysłowy o trzy klasy.

Leonek, aby nie skrzywdzić rodzeństwa, chce poprzestać na jednym pierogu.

Ale Bronia nie pozwala na to.

— Jedz-że, jedz—powiada, nakładając mu na talerz.

— Nie, nie mam apetytu...

— Ale bo jest dziś dosyć...

— A Nastusia?

— Starczy i dla niej...

(Marcinowej bo oddawna już niema, ba, od kiedy! Dostała dobre miejsce na wsi, w plebanii jednej, za gospodynię, a Bronia musi sobie dawać radę z dziewczyną wiejską, prostą i głupią, dla której jest to pierwsza służba w mieście i którą wszystkiego trzeba uczyć).

Chłopcu na imię Antoś.

Mizerne to jakieś stworzenie, blade, wychudłe, z podsinionemi i zaczerwienionemi oczyma, a i nie-

umyty chyba od tygodnia. Chłopiec wie jednak o tem, że jest brudny i wstydzi się tego; tuli głowę do ramion tak, aby mu szyi nie było widać i, o ile może, najmniej ręce na stole pokazuje.

Nieśmiały jest, ale roztropny i grzeczny. Po obiedzie kłania się Anatolkowi, a Bronię całuje w rękę. Widocznie nie umie zdać sobie sprawy z tego, że tu republika.

Anatolek wkrótce wychodzi z domu, a Leonek, posadziwszy gościa u okna z książką w ręku, pociąga Bronię do drugiego pokoju.

— Słuchaj — mówi do niej — ten chłopiec to taki sam sierota, jak i my.

Bronia przyjmuje to do wiadomości ze współczuciem.

— Nawet gorzej.

— Gorzej jeszcze.

— A gorzej. Uważasz on miał ciotkę, rodzoną siostrę matki i był u niej. Ale ciotka mu umarła, więc został u wuja. Ten go bił, powiadam ci, prawie codzień.

— Mój Boże!...

— Poczekaj, to jeszcze nic. Ten wuj ożenił się z wdową, która miała swoje dzieci własne. Więc już go nie chcieli posyłać do szkoły, ale oddali go do szewca do terminu.

— Do szewca!...

— Właśnie... On nie chciał szewcem zostać... Powiada, że ślusarzem i stolarzem, to zostałby, ale szewcem nie chce być. Więc go wypędzili z domu.

— Wypędzili go z domu.

— Tak, powiadam ci, biedak już dwie noce spał za miastem, w dole i dwa dni nic nie jadł.

Bronia pokiwała głową.

— Jacy to są ludzie bez serca na świecie...

— Ja go wziąłem, bo to był taki zawsze dobry kolega, powiadam ci... Niech się choć cokolwiek pożywi, a prześpi się ze mną.

— Bardzo dobrze zrobiłeś.

Bronia wcale niema trzeźwej główki. Co się gospodarstwa tycze, to zna wszystko dobrze i potrafi doskonale zarządzić. Żyje też w tem kółku codziennych obowiązków i powszednich zabiegów, bo ją los tam postawił i ponieważ w sposób naturalny przyjmuje wszystkie swe powinności; ale nie sądzi bynajmniej, aby całe już życie składało się z samych małych kółeczek powszedniej i codziennej pracy w kuchni i w pokojach i aby zamknąć je można było w książeczce do zapisywania wydatków.

I teraz, wobec współczucia dla biedy Antosia, książeczka do zapisywania wydatków żadnego u Broni nie ma głosu.

Pochwaliła jeszcze brata.

— Poczciwy jesteś, Leonku.

I zaraz budzi się w niej opiekunka, przyzwyczajona do swego rzemiosła.

— Słuchaj no możeby on się umył—mówi do Leonka.—Jabym mu dała ciepłej wody...

— A dobra!

— Ale może on się będzie mnie wstydził?

— Co ma się wstydzić!

— Widzisz zawsze może mu być przykro.

— Ja mu przygotuję wszystko; ręcznik mydło, a ty mu zanieś.

Leonek zaniósł mu wodę i mydło.

Bronia stoi u drzwi.

— Umył się?

— Umył.

Bronia spogląda wzruszonym wzrokiem na miednicę, którą Leonek odnosi z powrotem.

— Mój Boże, woda w niej, jak smoła!

— Słuchajno, teraz zanieś mu grzebienie.

— Dawaj.

— Uważasz, i poradź, żeby się czesał gęstym grzebieniem.

Po umyciu się i uczesaniu robi Antoś z Leonkiem wielką naradę nad przyszłością. Antoś bowiem ma swój plan. Odpocznie ot, ze dwa dni, aby sił nabrać, jeżeli Leonek mu pozwoli.

— Dwa dni! Choćbyś rok tu siedział, mój drogi...

A potem pójdzie Antoś do Warszawy, on już się dowiedział, którędy to trzeba iść... Szosą prościutko i już... No, a w Warszawie, ho! ho! Tam nie zginie... Może się do terminu odda, może co innego zrobi... Takie wielkie miasto...

Leonek zwierza ten plan siostrze.

— Do Warszawy! Pieszo!

— A co! Czy to tak daleko!

Broni to się nie wydaje.

— Po drodze go gdzie zatrzymają jeszcze.

— On już się nie da...

Myśli Bronia nad losem chłopca. Nie, nie sposób puścić go tak, trzeba mu dać chyba na bilet.

— A będzie? — pyta Leonek.

— Ze dwa ruble to może się znajdzie... Ciężko to te dwa ruble wziąć. Ale niesposób puścić chłopca pieszo... Nie dojdzie, padnie gdzie w drodze.

Leonek całem sercem wdzięczny jest siostrze:

— Słuchaj, to trzeba tak, żeby Anatolek się nic nie dowiedział...

— Nie bój się o to.

— Ani Ludek.

— Nikt o tem się nie dowie.

Niesie Leonek koledze wieść, jakiej się nie mógł spodziewać.

Antoś nie wie, co ma robić z wdzięczności; łzy poczynają mu się w oczach kręcić.

— Słuchaj, ale ty do mnie napiszesz?—mówi Leonek.

— Napiszę, a jak zarobię to ci zaraz odeślę.

— To głupstwo... Tylko napisz...

Zrobił się Antoś pogodny.

Wieczorem Anatolek pyta:

— Czy on będzie tu nocował?

— Tak!

Nazajutrz Antoś zostaje w domu z Bronią i Heniem.

— Ja tu państwu pewno przeszkadzam—mówi zażenowany, nie wiedząc co począć z sobą.

— O! ani trochę!—zapewnia go Bronia.

Chce jej pomódz przy sprzątaniu.

— Nie, nie, dziękuję!

Napiera się.

Bronia mówi mu wesoło:

— Już ja wiem co to za pomoc z chłopców! Pożal się Boże!

Siada więc przy oknie i bierze do ręki jakąś książkę. Ale gdzie mu teraz do czytania!... Myśli uciekają do tej przyszłości, jaka na niego czeka tam, w wielkiem mieście...

Po obiedzie Anatolek pyta Broni na stronie:

— Czy on tu myśli z nami mieszkać.

— Nie. Jutro idzie.

I nazajutrz robi Bronia Antosiowi węzełek: bochenek chleba, ser, kawałek mięsa; osobno zawija mu jedną koszulę i skarpetki Leonka, żeby choć raz miał na zmianę, inaczej biedak nie może mieć nic czystego nigdy; wreszcie osobno jeszcze dyskretny prezent: stary grzebień.

. Węzełek tak jest schowany, że nikt z chłopców o nim nie wie.

Wreszcie wieczorem Antoś w sekrecie żegna się z Bronią, całuje jej ręce, otrzymuje od niej pocałowanie w czoło i w towarzystwie Leonka idzie na kolej.

— Napisz zaraz—przypomina mu Leonek, ściskając ostatni raz, mocno, jego rękę.

— Nie bój się... Ja nie zapomnę tego do śmierci...

Bronia czeka na Leonka z bijącem sercem.

— Pojechał?

— Pojechał.

— Mój Boże, żeby on sobie tam dał radę w tej Warszawie!

— On nie zginie, ja jestem o niego spokojny.

Bronia wzdycha cicho.

— Co to na świecie jeszcze biedniejszych od nas!...

III.

Lato przyszło, świat stoi cały w uśmiechach, nad ludzkiemi głowami i dachami domów wisi niebo jasne i gorące, dokoła miasta pachnie zielony wieniec pól, drogi popielate zapraszają na wieś...

Życie w mieście bije pulsem wolniejszym. Wakacye...

Dla Broni niema nigdy wakacyi!.. To już wiele, kiedy może ona przysiąść na godzinkę u otwartego okna i z założonemi rękoma w jasny dzień spleść marzenia z jasnych myśli. W dobrym tygodniu ma Bronia takich godzinek miłych dwie może, w bardzo pomyślnym trzy, cztery.

Teraz ot nadszedł naprzykład tydzień niepomyślny.

Daremnie wyzłociła się ulica od bruków i chodników aż pod dachówki i kominy, daremnie niebo nasiąkło oślepiającą jasnością, daremnie słońce do oczu Broni zagląda, jej kasztanowate włosy całuje. Nie uśmiechnie się Bronia do niego...

Kłopot ma nowy a ciężki: gospodarz już kilka razy był o komorne.

W Kielcach za mieszkanie płaci się rocznie, więc choć i komorne jest niedrogie, ale trzeba mieć dużo pieniędzy odrazu, aby je zapłacić. A gospodarz, który już trzy razy zachodził o swoje pieniądze, jest to prawdziwy łyk kielecki; nieokrzesany, gruby, ponury; rozmowy z nim żadnej, tylko płać, coś winien, i wchodzi, nie mówiąc ani „Dzień dobry“, ani „Pochwalony...“ Nieraz Rabniewicze spotkali względy dla swej sierocej doli, dla swej niezwykłej sytuacyi odwagi i dzielności, z jaką życiu czoło stawili w tak młodym wieku, siłami dziecięcemi. Ale od tego człowieka żadnych względów spodziewać się nie można dla nikogo: pieniądz do niego jeden może przemówić—nikt więcej.

Po pierwszej wizycie gospodarza Anatolek uspokoił Bronię obrazem lepszej przyszłości, która niedługutko już nastąpi: od nowego szkolnego roku!

— Nie martw się nic, Brona. Ja muszę mieć co najmniej dwie dobre korepetycye na rok przyszły. I będę je miał, jestem pewny tego. A co główne, że nie będzie tak szalonych wydatków, jak w tym roku, kiedym się musiał koniecznie wyekwipować, aby ludzie mnie nie wytykali palcami i aby nie wyproszono mnie za drzwi z porządnych domów. Tak, na rok przyszły to tylko kiedy niekiedy do kupię sobie jaki drobiazg, krawat, kołnierzyk, rękawiczki. Resztę oddam ci do rąk w całości. Będziesz miała z czego gospodarować.

Bronię uspokoić było łatwo. Wszyscy oni taką wiarę mieli w przyszłość. Ot, aby dorość, aby

przetrwać te dni biedy i braku, aby dorwać się do prawdziwego, samodzielnego życia, kiedy społeczeństwu coś się daje i coś za to żądać ma prawo...

Jaka bo to szczęśliwość czeka ich wszystkich, gdy tylko pokończy każdy, co tam potrzeba!.. Jakiemi rozkoszami usiane będą ich przyszłe drogi! Byle wytrwać...

Bronia wierzy w słoneczną przyszłość mocniej może jeszcze, niż bracia, tylko, że nie ma wiele czasu, aby myśleć o tem. Gdy Anatolek lub Leonek puszczą przy niej wodze marzeniom, leci i ona z nimi na wyścigi i o troskach dnia dzisiejszego zapomina, i odgarnia od siebie kłopoty, które w dniu jutrzejszym na nią czekają.

Tylko, że to są momenty zapomnienia ledwie. Marzenie gaśnie, Bronia musi teraz pomyśleć o tem, co jutro będzie na obiad i jak tu do pierwszego dociągnąć z tymi kilkoma marnymi rublami.

Po drugiej wizycie gospodarza Anatolek powiada energicznie:

— A cóż? Trzeba będzie pomyśleć o naszym kapitaliku. Mamy przecież całe dwa tysiące rubli. Jak się nie da inaczej, to jakąś tam część trzeba będzie podnieść. To trudno. Jak myślicie?

— Ale nie dużo?—mówi Bronia.

— Hm! Z pięćset rubli, co?

Leonek to akceptuje.

— Byłby spokój na parę lat.

To wprowadza Bronię w zupełną równowagę i przestaje się już martwić o komorne. Tymczasem Anatolek wyjeżdża sobie na całe dwa miesiące wa-

kacyjne w Sandomierskie, gdzie został zaproszony przez kolegę.

Wesoło spędzono ostatni dzień razem z Anatolkiem. Brona przygotowała, jak na uroczystość jaką, „lepszy obiad“ i wszyscy odprowadzili brata na kolej, „cała kupa“.

Nazajutrz zaś zjawia się gospodarz z trzecią wizytą.

— No? Pieniądze som?—pyta.

Bronia tłomaczy mu, jak umie, że postanowili podnieść część kapitału, to mu z tego zapłacą.

— A kiedy?

— Jak tylko starszy brat przyjedzie.

— A kiedy przyjedzie?

Kiedy? Mój Boże, ledwo wczoraj wyjechał.

— Za dwa miesiące.

Gospodarz głową poruszył.

— Ja tyle czekać nie bende.

Odwrócił się i słowa więcej nie dodawszy, wyszedł.

Upłynęło dni kilka: przyszła awizacya do sądu na imię Anatola i Bronisławy Rabniewiczów.

Bronia w rozpaczy.

— Co tu robić?

Leonek radzi napisać do Anatolka.

Piszą długi list razem, Leonek leci z nim na pocztę i zdaje im się, że katastrofa odwrócona.

Tymczasem jeszcze dni kilka i komornik schodzi zająć rzeczy.

Bronia spogląda na Leonka przerażona.

Leonek radzi podać depesze do Anatolka.

Depeszę? I napisać w depeszy, że komornik

rzeczy zajął i że mają ich za tydzień z mieszkania wyrzucić?

Nie—myśli Bronia — takiej depeszy podać nie można: onaby Anatolka skompromitowała. I cóż Anatolek zrobi ostatecznie? Pojedzie do pana Waligórskiego poprosić o oddanie części pożyczonej mu sumy, która cały majątek rodziny stanowi...

Tak, ale zanim depesza przyjdzie: jeden dzień, zanim Anatolek się wybierze: drugi, zanim wyjedzie: trzeci... I tak dalej... A tu komornik obiecał tylko trzy dni poczekać.

I jeszcze, żeby to Anatolek odrazu wziął do serca to, iż tu jest ostateczność.

Ale czy weźmie?

Bronia wątpi...

Ulega ona braciom zawsze i wszędzie, ale zna każdego tak dobrze; wie, co który zrobi w jakiej okoliczności, nawet, co powie... Nie wierzy też, aby Anatolek po otrzymaniu najgwałtowniejszej choćby depeszy zechciał porzucić wieś, gdzie tylko co przyjechał i gdzie mu niezawodnie czas płynie mile i wesoło.

Ot, — pomyśli sobie: — Czego oni znowu tak bardzo się przelękli... głupi!

Jemu bo zawsze się zdaje, że złe może poczekać jeszcze troszkę.

Zresztą, gdyby Anatolek tu był, gdyby na własne oczy widział, jak komornik przylepiał pieczątki swoje na szafie, na komodzie, na stoliku — o! wtedy obudziłaby się w nim cała energia, ile jej posiada... Ale go tu niema.

Bije się Bronia ze swemi myślami przez całą noc, do świtu oka nie zmrużyła.

Kiedy zaś już tyle światła weszło do pokoju, że przedmioty rozeznać można, wstaje szybko z łóżka, ubiera się energicznie i mówi gorący, chociaż krótki pacierz.

Potem budzi Leonka.

— Słuchaj! Ja muszę jechać do Waligórskiego; inaczej będzie wszystko zapóźno. Dziś w nocy wrócę. Dom pozostawiam na twojej opiece. Pamiętaj, że choć dziś nie wychodź nigdzie. Służąca będzie wiedziała co na obiad zrobić. Daj trochę oka na Henia. A na wszelki wypadek masz tu pół rubla.

Leonek odrzuca kołdrę.

— Choć odprowadzę cię na kolej...

— Po co? Cóż mi to się stanie? Prześpij się jeszcze, bo ledwo piąta dochodzi. I niech oni się nie obudzą.

Na odchodnem jeszcze raz prosi brata, aby dobrze domu pilnował.

Leonek uspokaja ją:

— Nie obawiaj się niczego. Krokiem się nie ruszę.

Więc Bronia żegna się, prosi Boga myślą o odwagę i wychodzi.

Bije właśnie piąta.

IV.

Pan Nikodem Waligórski, obywatel ziemski, któremu Wujaszek Piotr powierzył w świętym depozycie mająteczek sierot, mieszka o dwie nieduże milki od stacyi Chęcin, w Białembłocie, gdzie posiada śliczną rezydencyę, ukrytą w parku, pełnym starych drzew.

Prowadzi, do niej długa aleja topoli nadwiślańskich.

Słońce parzyć zaczyna, kiedy bryczka żydowska, wioząca Bronię, wjeżdżała w tę aleją.

Żydek obraca się do pasażerki.

— Gdzie mam zajechać? przed duży, czy przed mały ganek!

Bronia nie wie, jaką wydać dyspozycyę.

Więc domyślny żydek zatrzymuje konia przed małym gankiem.

Gości z przed małego ganku prowadzi służba do kancelaryi. Lokaj w zielonej kurtce przez chwilę ma wątpliwości wprawdzie, widząc wchodzącą

młodziutką kobietę, ale rzut oka na jej sukienkę i kapelusz, powiada mu, czego nie wiedział.

Pan Waligórski jest w polu, ale jeden z jego synów przychodzi zapytać, co za interes ma ta panna.

Bronia mówić mu zaczyna interes.

— A w takim razie—przerywa jej chłopiec— ja nie mogę wyręczyć ojca. Musi pani zaczekać, aż wróci.

I odchodzi.

Pani Waligórska, dowiedziawszy się co to za gość, idzie sama do kancelaryi i zabiera Bronię do stołowego pokoju, aby dać jej coś zjeść i coś wypić.

Wszyscy ją tu nazywają panią.

Bronia ma szesnasty rok dopiero, ale wygląda na pierwszy rzut oka na nieco więcej, dzięki swemu wysokiemu wzrostowi. Wybujała bo w górę przez te lata... i jeszcze trzyma się pochylona naprzód, co ją także postarza. Dopiero przyjrzawszy się nieco uważniej, widać, że ta twarz, napozór poważna i prawie surowa, jest jeszcze twarzyczką dziecka.

Pani Waligórska zabawia Bronię uprzejmą rozmową.

— Państwo w Kielcach mieszkają?

— W Kielcach, proszę pani.

— Gorąco teraz musi być w mieście, nieprawdaż?

— O, tak, bardzo jest gorąco.

— O której pani wyjechała z miasta?

— O wpół do szóstej rano.

— Tak, teraz tylko rano można jeździć. Może jeszcze kawy? Pani ma dużo rodzeństwa!

— Czterech braci.

— A siostry, ani jednej!

— Ani jednej.

— I nie miała pani jej nigdy?

— Nigdy.

Pani Waligórska zaczyna się szczerze ożywiać.

— Więc pani wychowaną była od maleńkiego pomiędzy samymi chłopcami?

— Tak, proszę pani.

— To tak, jak moja Anielka. Ja mam jedną córkę i trzech synów... Leonie, poproś, żeby panienka tu przyszła... Jeżeli wolno zapytać, ile pani ma lat? Wszak w tym wieku, to nie jest niedyskrecyą.

— Skończyłam piętnaście niedawno.

— Zupełnie jak moja Anielka. I bardzo też pani dokuczali braciszkowie?

— O, wcale mi nie dokuczali.

— Niech się pani przyzna. Ja wiem, jak to się wychowuje dziewczyna pomiędzy chłopakami. Anielka dawniej codzień nowego guza przynosiła do domu. Ale cóż? Gdzie oni, tam być musi i ona. Chłopcy na wodę i ona na wodę, chłopcy na polowanie i ona na polowanie, chłopcy konno i ona konno... Taki się zrobił krzak dziewczyna, że rady dać niesposób. Czy pani uwierzy, że jej jedynem marzeniem była chęć pojedynkowania się z kimś, ale, powiada „naprawdę“ „na śmierć i życie“. Teraz to jej te rzeczy wietrzeją z głowy oczywiście, choć jeszcze potrafi się uprzeć i całą noc czekać z braćmi w szałasie na głuszce. Co prawda, to teraz już

się role zmieniły trochę, i nie chłopcy ją krzywdzą, ale raczej mają od niej za swoje.

Ale oto Anielka.

— Panna Bronisława jest w tem samem położeniu, co ty, złoto — zapoznaje pani Waligórska dziewczęta ze sobą.—Ma samych tylko braci.

— I dużo?

— Czterech.

— To jeszcze lepiej, niż ja. Spodziewam się, że pani krótko ich trzyma, nieprawdaż? Czy słuchają pani?

— Trochę słuchają

— A boją się pani!

— Nie, nie boją się.

— To źle. Bracia powinni się bać siostry, jak ją mają jedną. Niech pani zobaczy, jak moi są wytresowani.

Anielka jest w tym samym wieku, co i Bronia i przytem, jak to powiada pani Waligórska, „w tem samem położeniu“, ale jakże te dwie dziewczyny mają mało wspólnego!

Bronia, to dziecko poważne! spokojne i proste, Anielka, to już mała kobietka, śmiała, rezolutna, wiedząca, że jest piękną już i że będzie coraz to piękniejszą i przyzwyczajająca się bez ceremonii do wybitnej roli, jaką ma odegrać w świecie.

Tymczasem Karolek, chłopiec, który rozmawiał z Bronią w kancelaryi, spotyka brata w parku.

— Żebyś wiedział, Józiek, jaka śliczna panna przyjechała do nas.

Józiek ma lat siedemnaście i duszę na wdzięki kobiece, jak z gorącego wosku ulaną.

— Seryo?—pyta.

— Seryo.

— Młoda?

— Młodziutka.

— Nie zawracasz?

— Nie.

— Pewnie jaki stary grzmot.

— Pączek róży w rozkwicie, mówię ci.

— Pójdę zobaczyć.

— A idź! Umyślnie przyszedłem ci to powiedzieć, jako starszy brat.

Józiowi ta usługa wydaje się podejrzaną, ale idzie sprawdzić. Na widok bryczki żydowskiej zatrzymuje się.

— Ona tem przyjechała?—pyta.

— To cóż z tego—odpowiada Karol. — Przyjechała bryczką, jaką mogła dostać w Chęcinach. Przecie na stacyi niema powozów do wynajęcia.

Idzie Józio do dworu, przesuwa się ostrożnie przez pokoje i zdaleka przypatruje się Broni. Potem wybiega do parku i goni brata.

— A! mam cię, szelmo!—woła, łapiąc go.

— No, co! Czym skłamał.

— Skłamałeś bezczelnie.

— Co? stary grzmot?

— Nie stara, ale nie piękna. Brzydactwo.

— Mnie się podobała.

— Łżesz! Jak się komu może podobać taka zapałka?

Zaczynają się ciągać po trawniku.

Tymczasem nadjeżdża p. Waligórski i wita Bronię bardzo uprzejmie.

— A! bardzo mi miło, bardzo mi miło...

Wszyscy się wynoszą, aby im nie przeszkadzać.

Bronia przystępuje zdecydowana do rzeczy, chociaż serce w niej zamiera z obawy; przeczuwa ona, że nawet swoje pieniądze nie tak łatwo jest otrzymać od ludzi.

— Pięćset rubli chcecie podnieść—mówi Waligórski.—Dlaczego nie, dlaczego nie? Nieboszczyk p. Piotr, mój poczciwy sąsiad, przewidywał, że to nie może się skończyć na samym procencie. Państwa jest czworo?

— Pięcioro.

— Pięcioro... Właśnie. I rośnie to, a wydatki coraz większe... Rozumiem, rozumiem... Braciszek pewnie w szkole ciągle?

— Trzech jest w gimnazyum.

— Trzech? Bardzo pięknie, bardzo... I jakże im nauka idzie?

— Dobrze. Szczególniej starszym.

— Chwalebna rzecz, chwalebna! A moje wisusy nic się nie chcą uczyć. Byli naprzód w Warszawie, potem w Łowiczu, teraz oddałem ich do Krakowa... Na kiedyż wam tych pięćset rubli potrzeba?

Pan Waligórski ciągle tak mówi do Broni przez „wy“, jakby przed nim stało wszystko pięcioro.

— Ja właśnie po to przyjechałem.

Pan Waligórski rozłożył ręce.

— Po to! Zaraz? W tej chwili?!—zaczął wołać.—Bójcie się Boga, a toć wybyście mnie zarżnęli... Żniwo na karku, rolnik kręci się, jak mucha

w ukropie, zkąd dostać pieniędzy na robotnika, a tu przyszliście wołać: dawaj! Krwi, jeśli zechcecie, abym wam utoczył zgoda! Hę? Kwarta? Dwie kwarty? Garniec? Ale pięćset rubli?! Nie sposób. Jak to można było taki koncept wymyślić.

Bronia zwiesiła smutnie głowę.

Oto załamała się pod nią ostatnia deska ratunku. Co teraz począć?

Pan Waligórski zaś sapał jeszcze, czoło z potu ocierał i wydziwić się nie mógł temu nagłemu żądaniu.

Wreszcie Bronia podniosła na niego oczy, w których zapaliła się ostatnia iskierka nadziei.

— Może choć sto rubli...

— I sto kopiejek nie mogę...

Ale tu urwał, bo spostrzegł naprzód, że go ferwor unosi zadaleko, a następnie wzrok dziewczyny, pełen obawy i smutku, poruszył w nim jakąś tam delikatniejszą strunę serca.

— Sto rubli? Sto rubli? Na cóż wam znowu tak gwałtownie stu rubli potrzeba? Czyście się spalili u Boga Ojca, czy co?

Cień otuchy zamigotał przed dziewczyną.

Na co im tak gwałtownie potrzeba!

Wypowiada Bronia całą prawdę. Jeżeli nie zapłacą siedemdziesięciu rubli i to pojutrze, to zostaną bez dachu nad głową.

Pan Waligórski zmarszczył czoło i skrzywił usta.

— Trzebaż było od tego rozpocząć. Toć trudno mi było odgadnąć, że was tak potrzeba przycisnęła. A no tak, to co innego.

Sto rubli ostatecznie trzeba wam będzie dać,

skoro innej rady niema... Ale mówię ci, panno Bronisławo, żebym wolał... No, mniejsza o to. Proszę teraz zrobić grzeczniejszą minkę i pójdziemy na obiad.

W piersi Broni serce poczęło tłuc się pręciutko i radośnie.

I nocnym pociągiem wraca do Kielc uszczęśliwiona.

Józio, wielbiciel płci pięknej, myśli sobie:

— Jakie ta dziewczyna ma ordynarne, brzydkie, niestarannie utrzymane łapy. Nie pocałowałbym ją w rękę za żadne skarby swiata!

I na twarzy jego osiada wyraz pogardy. Pani Waligórska zaś powiada do męża...

— Biedne to jakieś dziewczątko, nieśmiałe, nieobyte...a także między chłopcami wychowana, jak nasza Anielka. Musi nie mieć sprytu.

Pan Waligórski uważa Anielkę za najdroższy klejnot, jaki kula ziemska posiada.

— Noo, gdzie jej do Anielki...

— A jednak są w jednym wieku.

— Co tu wiek ma do tego, to trzeba się już urodzić z taką dyabelską fantazyą, jak ma ta dziewczyna. Jak one tak siedziały przy obiedzie, jedna obok drugiej, tom ja je, przyznam ci się, porównywał. Świeczka łojowa, przy słońcu, doprawdy.

— Tylko ty nie mów tego przy Anielce, bo dziewczynie do reszty przewróci się w głowie.

— Niby ona tego nie wie. Ho! ho! To ananasik. Skarżyła się ona za młodu na ród chłopców... Zobaczysz, co ona niedługo z tym rodem zrobi!...

I kładł się pan Waligórski spać, uśmiechnięty.

V.

Cały rok następny upłynął im, jak w gorączce, mieli bowiem głowy zapalone bardzo świetnym projektem i ledwie, że mogli doczekać wakacyi, aby go wprowadzić w wykonanie.

Zaczęło się to zaraz na początku zimy. Pewnego dnia listonosz przyniósł list, zaadresowany do wielmożnego pana Leona Rabniewicza.

Leonek, zdziwiony niemało, rozerwał kopertę i, rzuciwszy okiem na list, zwrócił się do Broni, z wesołym okrzykiem:

— Patrz! Od Antosia!

— Od Antosia?!

Chłopiec tak długo nie dawał znać o sobie, że sądzono, iż zapomniał o przyjaznych mu w Kielcach duszach; więc i o nim myśleć przestano.

Ale on nie zapomniał... tylko nie miał na markę.

Teraz tłómaczy się z tego. I pisze, że strach, czego nie przechodził; o mały włosek zostałby złodziejem. Już, już... ale zlitowała się nad nim Matka

Boska i trafił pod opiekę zakonnic. Teraz uczy się rzemiosła stolarskiego, do czego miał zawsze ochotę i jest mu dobrze. Da Matka Boska przebyć lat kilka, — zostanie czeladnikiem, bo już jest zapisany w cechu. Leonkowi i jego siostrze jeszcze raz dziękuje i błogosławi ich, bo teraz wie, że do Warszawy pieszoby nie doszedł, a grzebień, który mu siostra Leonka dała, to jeszcze ma.

Wszystko to jest tajemnicą między Bronią a Leonkiem.

— Patrz, widzisz! — woła Leonek zadowolony do Broni.

— Bogu dzięki, że się nie zmarnował—powiada Bronia.

— Ja mu zaraz jutro odpiszę.

— A nie zapomnij pokłonić się odemnie.

Nazajutrz przy kolacyi strzela, zupełnie nagle, z płodnej głowy Leonka wspaniała myśl:

— Słuchajno, a gdybyśmy się tak wszyscy do Warszawy przenieśli, co!

Spoglądają na niego z wyrozumieniem.

Anatol mówi:

— Jest coś nowego. Dawno nie było.

Leonek przywykł do braku zaufania, jakie plany jego budzą w rodzinie. Nie cierpi zresztą nad tem ani trochę.

— Ale wy pomyślcie nad tem—mówi spokojnie.—Przecież nie o to idzie, kto poda projekt, byle projekt był dobry, nieprawdaż?

— Prawda—przyznaje mu Henio.

— A powiedzcie, czy nam nie wszystko jedno

mieszkać tu, czy tam. Więc dlaczego nie pozwolić sobie na wielkie miasto, co?

Bronia już jest do połowy przekonana. Jej nigdy długo nie trzeba namawiać. O jedno tylko się boi.

— Tam pewno jest drożyzna dopiero, no? Ciekawam po czemu funt mięsa?

— Tam wszystko taniej, niż tu — mówi Leonek—bo dowóz większy.

Anatolek zamyślił się.

— A ty, ot!—zwraca się do niego Leonek — starasz się i starasz o drugą korkę i nic. Tamby sama korka do ciebie przyszła.

Ludek milczy, jak zawsze, gdy odbywa się narada nad wspólnymi losami. Słucha tylko z wyłupionemi oczyma uważnie, jakby z trudnością łykał każde słowo. I zawsze ma taką minę, jakby się bał, aby mu ktoś czegoś nie zabrał.

— Hm! Jest myśl! — powiada po chwili Anatolek.

Bronia jeszcze się do niego zwraca.

— Czy to możebne, aby w Warszawie mięso było tańsze.

— Dlaczego nie—odpowiada.

— Ja wam powiadam — zapala się Leonek— nic mądrzejszego nie wymyśliłby sam Salomon. Ja nie rozumiem, po co my gnijemy w Kielcach?

— Nam i tak trzeba będzie do Warszawy do uniwersytetu—mówi Anatolek.

— No widzisz...

I po chwili dodaje, patrząc na młodszego brata.

— A Ludka, ponieważ jest konkursowany osieł, odda się do innej, łatwiejszej jakiej sztuby.

Ludek, pod wpływem obelgi, zaczyna piszczeć.

Bronia staje zaraz w jego obronie.

— Leonek!—woła gniewnie.

— O co idzie? Przecież ja nie chciałem go obrazić. Konkursowy osieł, to tylko określenie.

Ludek znowu piszczy.

— Więc w twojej obecności nie można wcale wspominać o ośle, co?—pyta go Leonek.

— Leonek!—woła Bronia.—Dasz mu ty pokój?

— Tak, to nie jest głupie — mówi zamyślony Anatolek.

— Powiadam ci, to będzie używanie — zapewnia go Leonek.

I wszyscy kładą się spać tego wieczoru z niejasnem marzeniem o Warszawie.

Nazajutrz Anatolek mówi do Broni na osobności:

— Jak ty myślisz z tą Warszawą?

— Bo ja wiem...

— To nie był głupi projekt.

— O! nie.

— Jakie tam inne musi być życie...

Żadne z nich nigdy nie było w Warszawie dotychczas.

Broni o jedno tylko idzie.

Żeby się tak dowiedzieć, czy tam wielka drożyzna...

— Ja się dowiem.

Henio, który dziś bardzo się nudził przez cały dzień, powiada:

— Jedźmy do Warszawy.

— Czy dziś?—pyta Anatol.

— Nie, jak przyjdą pieniądze od wuja Adolfa.

Przez cały wieczór rozmowa idzie tylko o Warszawie. Anatolek dowiedział się o życiu w wielkiem mieście rozmaitych rzeczy od kolegów. Toż samo Leonek. Każdy opowiada, co wie. Wieści są różne, ale w jednem są zgodne: wszystkie malują to życie w świetle pięknem, wszystkie brzmią zajmująco, nawet ponętnie.

Budzi się zapał.

— Więc co, czekać jeszcze?—woła Leonek.— Jedźmy i basta.

Anatol spogląda na Bronię.

— Co myślisz!

— Jak wy chcecie.

— Hm! W każdym razie nie można tego zrobić w środku roku, rozważa Anatol.

— Mieszkanie zapłacone do maja— przypomina Bronia.

— To co! Wielkie rzeczy! — woła z lekceważeniem Leonek.

— Trzeba zrobić rozsądnie—tłomaczy Anatol, któremu zresztą Warszawa pachnie niemniej, niż bratu.—Ot, co ja wam powiem moi drodzy; wyślijcie wy mnie na zwiady. Na Boże Narodzenie ja pojadę do Warszawy na parę dni. Mam kolegów, którzy się tam przenieśli z kieleckiego gimnazyum, to mi będzie łatwo dowiedzieć się, czego potrzeba... Zbiorę wszystkie informacye, ponotuję ceny, koszta i wtedy zobaczymy, co!?

— Doskonała myśl—mówi Bronia.

— Możebyśmy razem pojechali — proponuje dość nieśmiało Leonek. — Zawsze taka rzecz we dwóch łatwiej...

To nie znajduje echa. We dwóch! Nie to za kosztowna byłaby zabawa. Przytem jeden to samo zrobi.

Anatol oblicza więc kosztorys tej podróży Stanie pierwszego dnia w hotelu, potem znajdzie. sobie przytułek u którego z kolegów. Do stryjowstwa zajdzie tylko z wizytą...

—Naturalnie.

— Nie potrzebujemy się narzucać nikomu...

— Sami damy sobie radę, jakeśmy dali sobie radę dotychczas.

I zabawi w Warszawie najdłużej tydzień, ale już na trzeci dzień przyśle im długi list i w nim moc danych informacyi, cyfr... Otóż to wszystko kosztować ich będzie piętnaście rubli.

— Piętnaście rubli...

Bronia, minister finansów, robi ekspozycye obecnego stanu budżetu; wymienia, o czem nie potrzeba już myśleć, jakie są najbliższe, nieuchronne wydatki, jakie dochody i jak ostatecznie wygląda kasa.

Okazuje się, że na upartego możnaby zaryzykować tę podróż, ale pod warunkiem, że do Bożego Narodzenia nie wypadnie nikomu nic ekstra.

Pod wpływem rosnącego zapału wszyscy zrzekają się możliwych wydatków ekstra i podróż Anatolka zostaje postanowioną.

Jak powoli w tym roku zbliża się Boże Narodzenie! Ledwie, że się go doczekać można.

Leonek prawie że nie może wytrzymać już w Kielcach.

— Co to za dziura — skarży się ciężko przed kolegami i przed rodzeństwem.

O wszystkich rzeczach, które nie mają bezpośredniego związku z wielkim ich projektem, ledwie się teraz wspomina; „mówi się” o jednej tylko rzeczy: o Warszawie. I mówi się o tem aż do zmęczenia, aż do bólu głowy. Raj im wydaje się tak pięknym, jak ta Warszawa... Podróż Anatolka, te zwiady, te informacye—to czysta formalność. Nikt nie wątpi, że rezultat będzie: do Warszawy.

Doczekali się nareszcie dnia, w którym Anatolek, uradowany i żegnany przez uradowane rodzeństwo, wyjeżdża z Kielc.

Leonek liczy godziny.

— Teraz już jest w Warszawie—mówi.

— A teraz pewno list pisze.

List! Żeby go się jaknajprędzej doczekać!

Przychodzi i list w końcu.

Od pierwszych słów widać, że Anatolek jest oczarowany, zachwycony, porwany.

Leonek wpada w szał. Zaczyna skakać po pokoju, przewracać krzesła. Henio, za przykładem brata, puszcza się w jakiś wojenny taniec indyjski...

Bronia z największym trudem skupia wszystkich nanowo dokoła stołu.

— Ale poczekajcie — perswaduje — trzebaż przecie skończyć list...

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

Tom.		CENA w opr. kop.	brosz. kop.
584.	**Robert-Louis Stevenson.** DZIWNA HISTORYA D-ra JEKYLL'A i M-ra HYDE'A 1 t.	55	40
585.	**Gryf.** NA PRZEŁOMIE 1 tom	55	40
586.	**M. Arcybaszew.** ŚMIERC LAUDEGO 1 tom	55	40
587.	NAPOLEON NA WYSPIE Św. HELENY. Pamiętnik hr. Balmain'a. Przełożył Maciej Wierzbiński 1 tom	55	40
588, 589.	**M. Czerny.** ZA CO? Powieść 2 tomy	1.10	80
590.	**L. Paul-Dubois.** IRLANDYA WSPÓŁCZESNA I KWESTYA IRLANDZKA 1 tom	55	40
591.	**W. Lutosławski.** JAK TANIO PODRÓŻOWAC?—Wędrówki iberyjskie 1 tom	55	40
592.	**Władysław Renard.** ONE 1 tom	55	40
593, 594.	**Lafcadio Hearn.** LOTOS 2 tomy	1.10	80
595.	**Ignacy Grabowski.** PAMIĘTNIKI RUPIECIA 1 tom	55	40
596, 597.	**Ludwik Włodek.** NA ZIEMI WASZYNGTONA 2 tomy	1.10	80
598, 599, 600.	**Selma Lagerlöf.** DZIWY ANTYCHRYSTA. Powieść 3 tomy	1.65	1.20
601.	CZĘSTOCHOWA. Opracował **Włodzimierz Trąmpczyński.**	40	25
602, 603.	**Antonio Fogazzaro.** TAJEMNICA POETY. Z 26-go wydania włoskiego przełożyła Natalja Nagórna	1.10	80
604, 605.	**Charlote Perkins Gilman.** KOBIETA A STAN EKONOMICZNY. Studya nad ekonomicznym stosunkiem mężczyzny do kobiety, jako ważnym czynnikiem ewolucyi społecznej. Przełożyła z oryginału angielskiego Marya Podlewska	80	50
606, 607.	**Linankoski.** KRWAWY KWIAT. Z fińskiego przełożyła Klemensiewiczowa	110	80
608.	**Monty Jacobs.** MAETERLINCK. Studyum krytyczne. Przekład Maryi Kreczowskiej	55	40
609.	**Ida Pilecka.** Z ZA ŚWIATA	55	40
610, 611.	**Björnstjerne-Bjornson.** MARY. Powieść 2 tomy	1.10	80
612, 613.	**V. Blasco Ibanez.** KATEDRA. Powieść 2 tomy	1.10	80
614. 615.	**Jagniątkowski.** POLAK W LEGII CUDZOZIEMSKIEJ. 2 tomy	1.10	80
616.	**Jerome-Jerome.** TOMCIO i Sp. Humoreski	55	40
617.	**Kazimierz Laskowski (El).** EKONOM TRAGIK. Obrazek z życia wiejskiego	55	40

Tom.		CENA w opr. kop.	brosz kop.
618.	**Wiktor Gomulicki.** OPOWIADANIE O STAREJ WARSZAWIE. 3 serya	55	40
519.	**Pamiętnik N. J. Mamajewa.** ROSYANIN W POLSCE w latach 1838—1842	55	40

Rok 1910.

620, 621.	**Kazimierz Przerwa-Tetmajer.** ZATRACENIE. Romans	1.50	1.20
622, 623.	**Ludwik Jenike.** ZE WSPOMNIEN	1.10	80

Dostawcy Dworu Jego Cesarskiej Mości

SKŁAD WIN

J. LIJEWSKI i S-ka

w Warszawie, Krak-Przedm. Nr. 8.

Firma istnieje od r. 1874.

POLECĄ:

Stare **wina Węgierskie, Francuskie** oraz wszelkie inne zagraniczne dla Chorych i Rekonwalescentów, nagrodzone **medalem złotym** na wystawie w Paryżu 1900 r. **Wina Mszalne**, których przysięgłym dostawcą firma w r. 1883 mianowaną została w cenach:

Krymskie na szczepach Węg.	but.	70 k.
Francuskie Barsac. . .	„	1 r. — „
Węgierskie mszalne . .	„	1 „ 15 „

Wyższe gatunki win tak w butelkach, jak i w beczkach podług specjalnych cenników, które na żądanie natychmiast wysyłamy.

Przy składzie win

Pierwszorzędna Restauracja,

cieszącа się od lat dawnych wielkiem uznaniem a ostatnio nagrodzona na wystawach w Warszawie w Rossyi medalem złotym oraz dypl. honorowym